

O d a t o s y



11 (593)
16. III. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



Z WIZYTĄ U JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA (patrz str. 7).

Fot. A. Wach

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SKOK do junackiej dzielnicy

Jadę „czwórka”, najdłuższą linią tramwajową w Krakowie. Bieg swój rozpoczyna od Bronowic, dzielnicy wysuniętej w kierunku Śląska. Mija centrum, ocierając się o planty i strefę Dworca Głównego. Jeszcze chwila, wąski kamienny przesmyk, i nagle gasną wspomnienia po starym, zabytkowym Krakowie. Oto Grzegórzki — roboczy sektor miasta najeżony kominami fabryk. Hale produkcyjne, warszaty, laboratoria — krajobraz przywodzący na myśl przemysłowe rejony Łodzi i Katowic; owiany dymem, przysypany sadzą, szary a poważny, dostojny.

1.
Czas biegnie tu szybko. Ludzie chodzą tu ostro, zdecydowanie. Gdybyś zapytał tego człowieka w roboczym kombinezonie, kupującego akurat papierosy w kiosku, czym są dla miasta Grzegorzki, odpowie ci z dumą i bez wahań, że to żywiciel Krakowa; wymieni z miejsca kilka wiodących przedsiębiorstw: Fabrykę Maszyn Drogowych, Fabrykę Maszyn Odlewniczych, Zakłady Farmaceutyczne „Polfa”; rozłoży przed tobą barwną wizję przyszłości, bo przez ciebie właśnie w Grzegórkach ma powstać centrum Wielkiego Krakowa, szereg nowoczesnych, reprezentacyjnych inwestycji.

Ale przemysłowe skrzydło miasta nie kończy się na Grzegórkach. „Czwórka” przejeżdża tory kole jowe, sunie jeszcze dwa przystanki wśród fabrycznych zabudowań i panorama z wolna ulega przemianie. Zaczyna się coś jakby wieś,

ale wieś dziwna, szokująca... Parteterowe domki, koślawe stodoły, nieraz nawet chałupy pod słomą na tle nowoczesnych bloków, ba, wieżowców. Już już myślisz, że utrwali się nareszcie wiejski, sielankowy pejzaż, a tu znowu jakaś nowoczesna szkoła, albo zarzys fundamentów wielkiej, bynajmniej nie wiejskiej budowli. I z biegiem trasy, zamiast przejścia miasta w wieś, następuje przejście wsi w miasto. Druga połowa Czyżyn, wioski stanowiącej do niedawna jedyne jaskrawą przepaść pomiędzy Krakowem a Nową Hutą, jest już zurbanizowana i uprzemysłowiona, wtopiona architektonicznie w swoją administracyjną dzielnicę, Nową Hutę, która z kolei stapia się coraz bardziej ze swoim administracyjnym miastem. Krakowem. Będąc zatem w Czyżynach — jesteśmy w Nowej Hucie; będąc w Nowej Hucie jesteśmy w Krakowie.

„Czwórka”, najdłuższa linia tramwajowa w mieście, wjeżdża na Plac Centralny.

2.
Oto centrum stućdziesięcioletniego miasta, którego dwadzieścia lat temu nie było na mapie kraju. Oto nowoczesna, wielkomiej ska dzielnica, którą zabytkowy, snobistyczny Kraków, pomimo administracyjnych przykazań, długo, długo wzdrygał się uznać za swoją.

Dlaczego?

Ludzie powiadają:
— Zła opinia.

Ta opinia okaże się plotką — jeśli poznasz Nową Hutę — dzień powszedni.

Ale można także polemizować z tą opinią sięgając do historii.

W roku 1949 szumiały tu zboża, a kiedy padał deszcz, to kłisy w błocie polne, wyboiste drogi.

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ F. GRABSKI

Stańczyk w nowym przebraniu

„Ostatnim słowem świadectw historycznych ... jest, że upadku swego Polacy sami są sprawcami i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas lub później, zasłużoną są przez naród pokutą” — pisał w 1868 roku, w atmosferze zwątpienia po klęsce powstania styczniowego Walerian Kalinka. Zawarty w tych słowach pesy-

mistyczny pogląd na dzieje narodu stał się własnością całej tzw. krakowskiej szkoły historycznej, politycznie związanej z konserwatywnym stronnictwem stańczyków. Koryfeusz tego kierunku — Walerian Kalinka, Józef Szujski czy Michał Bobrzyński — każdy odmiennymi środkami, w nawiązaniu do odmiennych założeń filozoficznych i historiozoficznych, wnosili gmach syntezy historycznej w której dzieje Polski różnymi ścieżkami zmierzały do nieuchronnego celu — do upadku. Katastrofa rozbiorów stała się punktem wyjścia w poglądzie na całą przeszłość narodu, którą „nawłócono na jedną nić czarną, ginącą w olbrzymiej ruinie”. „Katastrofa upadku — pisał Władysław Smoleński — użyta została do oświecenia wypadków wstecznych i zaprawiała pogląd na najodleglejsze okresy przeszłości — pesymizmem”.

Wnioskiem politycznym płynącym z tej historycznej teorii było — potępienie walk narodowo-wyzwoleńczych, owego — jak drastycznie powiadał J. Szujski — „liberum conspiri” — akceptacja zaborów jako faktu nieuchronnego i samoza winionego, pogodzenie się z obcym panowaniem na polskiej ziemi, słowem — jak powiedział jeden z history-

ków związanych z obozem niepodległościowym w początku XX wieku — „pokora, cierpliwość i posłuszeństwo w niewoli”.

Pesymistyczna koncepcja dziejów Polski, przeciwko której występował zarówno przedstawiciel republikańsko-demokratycznego nurtu w naszej historiografii, jak liberalizujący warszawscy historycy, politycy i twórcy (W. Smoleński, T. Korzon), ustąpiła na przełomie stuleci — w odmiennych warunkach społeczno-politycznych — innej, optymistycznej. Znalazła ona swój dobitny wyraz w historiografii — Szymona Askenazego i jego szkoły. „Pojawienie się tego kierunku — powiada Józef Dutkiewicz — było jednym z elementów odrodzenia narodowych aspiracji, stąd powiązanie z tzw. ruchem niepodległościowym, powiązanie luźne — mistrza, ściślej — u wielu uczniów, zwiaszcza lewicujących”. Jeden z tych ostatnich zwołał do walki z kierunkiem szkoły krakowskiej broń polityczną:

„zadzierzgniętą między przeszłością a przyszłością nadzieją polską, ufnoszącą w nowy byt narodu i wyższemu zaiste nad wszystkie prawa zwątpienia i troski, niechęci i gorczy, prawem do życia, jakie już na Sejmie Czteroletnim 21 listopada 1788 r. wygłosił marsza-

łek Ignacy Potocki:” za najkardynalniejszą mam prawo: niepodległość Rzeczypospolitej; każde inne, co się temu sprzeciwia, nie za niezmiennie mam prawo, ale owszem, za kardynalne bezprawie.”

Klęska wrześniowa, tragedia narodu polskiego podczas II wojny światowej — wrześnie nowa sytuacja społeczno-polityczna powstała w wyniku zwycięstwa nad hitleryzmem i rewolucji dokonanej w Polsce znowu zaktualizowały te przebrzmiałe, jakby się mogło zdawać, spory o koncepcję dziejów narodowych. W nowej postaci odrodzić się miał stańczykowski historyczny pesymizm, który w nowych warunkach społeczno-politycznych jał przeżywać swą drugą młodość. Nawiązanie do pesymistycznej wizji dziejów Polski wynikało — choć wydaje się to paradoksem — z diametralnie różnych postaw politycznych. Pogląd, że historiografia polska „winna uwytłumaczyć destrukcyjne i anarchistyczne czynniki charakteru narodo-

Dalszy ciąg na str. 4



Praktyka konsultacji polsko-radzieckich mocno się już zakorzeniła. Dokonujemy ich systematycznie. Temu celowi służył także pobyt w ub. tygodniu w Moskwie naszej delegacji partyjno-rządowej.

W toku dwudniowych rozmów Władysława Gomułki, Józefa Cyrankiewicza i Bolesława Jaszczuka z najwyższymi przedstawicielami ZSRR wymieniono informacje o toku budownictwa socjalistycznego i komunistycznego w obu krajach, przedyskutowano stosunki bilateralne oraz omówiono aktualną sytuację międzynarodową.

Podkreślono również niezbędność dalszego działania w kierunku umocnienia jedności i zwartości krajów wspólnoty socjalistycznej i światowego ruchu komunistycznego.

Moskiewskie spotkanie wywołało żywe zainteresowanie komentatorów. Dzieje się tak zwykle — tym razem i dlatego, że sytuacja zewnętrzna była napięta.

Z wielką uwagą opinia publiczna świata śledziła wybory prezydenta NRF w Berlinie zachodnim. Jeśli berlińska prowokacja nie miała bezpośrednich niebezpiecznych następstw dla europejskiego pokoju — zawdzięczać to należy wysokiej odpowiedzialności ZSRR i innych krajów socjalistycznych za bezpieczeństwo na naszym kontynencie.

Wybory w trzeciej turze głosowania, kiedy nie obowiązywała już zasada kwalifikowanej większości, przyniosły zwycięstwo kandydatowi SPD — Gustawowi Heinemannowi.

Wynik tej decyzji gremium elektoralskiego w liczbie 1036, należy rozpatrywać głównie pod kątem porażki CDU-CSU, zblakowanym z neohitlerowską NPD. Z ich ramienia kandydował Gerhard Schroeder, trzykrotny minister w rządach Adenauera, Erharda i Kiesingera. Jest tajemniczą polszynielą, że partia obecnego kanclerza NRF pewna była zwycięstwa. Stało się inaczej w wyniku spekulacyjnego, ale też chwilowego układu sił oraz mimo iż Schroeder tuż przed wyborami próbował przywdziać maskę... liberała.

Trudno wykluczać, że wybór Heinemanna wywrze pewien wpływ na przebieg jesiennych wyborów do Bundestagu, że ośmieli SPD do bardziej samodzielnego działania i że zapewni jej bardziej trwałe poparcie FDP.

Niektórzy z obserwatorów przewidują jeszcze dalej idące skutki — rozpad tzw. wielkiej koalicji. Są to jednak zaledwie spekulacje.

Heinemanna, co nie omieszkaliśmy przypomnieć tuż po wyborach Kiesingera, dzieła z kanclerzem NRF pewnie różnie poglądów, ale — co również „zauważył” Kiesinger — prezydent w Niemczech zachodnich „sprawuje swój urząd jedynie przy pomocy autorytetu, bez atrybutów władzy”.

Głównie jednak interesuje nas, czy nowy prezydent będzie chciał w jakikolwiek sposób wpływać na zmianę polityki NRF. Jego życiorys nie może dać na to odpowiedzi. Heinemann znany jest bowiem zarówno jako przeciwnik remilitaryzacji z okresu Adenauera, jak i gorący rzecznik ustaw wyjątkowych z okresu Kiesingera, jako przeciwnik przedawnienia zbrodni hitlerowskich, ale i współtwórca nowego prawa, mającego na celu zwalczanie wszelkich postępowych ruchów.

Heinemann nie ma, jak jego poprzednik, obciążonego konta współpracą z hitlerystami, stęrować ma jednak państwem, które odnawia hitlerystów i którego polityka od początku do końca nastawiona jest na rewidowanie wyników II wojny światowej i odwet.

Nie obliczamy więc sobie po tym wyborze zmiany kursu NRF w kierunku uznania rzeczywistości europejskiej, a przecież tylko to mogłoby się liczyć.

Na granicy radziecko-chińskiej, ciągle nekane incydentami, doszło do nowej i groźnej prowokacji. 300 uzbrojonych żołnierzy chińskich, pogwałciwszy granicę, wkroczyło na terytorium radzieckie. Do żołnierzy ochrony pogranicza ZSRR, gdy zamierzali zaprotestować przeciwko naruszeniu państwowego terytorium, otwarto ogień. Zbrojna napaść kosztowała życie 31 żołnierzy radzieckich, 14 zostało rannych.

Incydent na rzecz USSURI nie jest po prostu tragicznym przypadkiem. Wszystko wskazuje na to, że został on zaplanowany z premedytacją i miał — w zamiśle maoistów — spełnić określone polityczne cele.

Pierwszym z nich jest z pewnością odnowienie i nasilenie antyradzieckiej historii w Chinach w związku z przygotowaniem do IX zjazdu KP Chin, zjazdu, który przy pomocy starannie dobranych delegatów ma umocnić pozycję Mao Tse-tunga i jego wielkomocarstwowy, awanturniczy kurs polityczny. Drugim — zdemontowanie antyradzieckości na zewnątrz — w sytuacji, kiedy na porządku dnia stoi sprawa nowych kontaktów ChRL — USA, mających przynieść „odwilż” na tej linii.

W Stanach Zjednoczonych i NRF głośno już kalkuluje się, co można zyskać w wyniku tej granicznej awantury i wypływającego z niej napięcia chińsko-radzieckiego. Trudno nie przypuszczać, że grupa Mao uwzględniła to w rachunku prowokacji.

Nikt nie stawia znaku równości między maoistami i narodem chińskim i to tragiczne wydarzenie — jak podkreśla nota radziecka — nie skłóci narodów ZSRR i Chin. Ale też nie może pozostać bez następstw.

W. SŁAWSKI

JERZY DARNAL

Ciasne buty i uśmiech

PODSUMOWANIE ANKIETY

Życie codzienne, o czym wszyscy doskonale wiemy, ustane jest często formułkami, a ankietyzacja wciśka się natrętnie do najwyższych nawet sfer. Mielimy więc niejaki obawy, czy nasza „Ankieta”, nasze „odgłosowe” przyłożenie ręki do „złego” nie spotka się z naganą albo co gorsza obojętnością Czytelników. Każdy wprawdzie mówi chętnie o potrzebie prowadzenia dialogu, ceni owocną wymianę myśli i poglądów, ale są to tak zwane zagadnienia ogólne. Szczegóły lubią wyglądać inaczej.

Ale począł, jaka w ostatnim czasie nadchodziła do redakcji pozwolila nam dożyć wcześniej rozwiązać przynajmniej jedną, choć za to pod stawową obawę: czy nie będzie obojętności? Nie było. Złożone przez nas specjalnie, jak w przyzwoitym urzędzie, te czki na odpowiedzi ankietowców pędziły z dnia na dzień a na redakcyjnych biurkach piętrzyły się koperty z jakże dla nas egzotycznymi pieczęciami urzędów pocztowych daleko spoza Ziemi Łódzkiej. Bo ko mu brakowało szerokiego oddechu w rubrykach uwierających jak przyciasne panto felki, ten chwycił za pióro i pisał list, w którym o wiele precyzyjniej niż w ankiecie można wyliczyć swoje spostrzeżenia, a nawet pretensje. A było tych uwag wcale nie tak mało, szczególnie od tych, co jak sami przyznają, nie zdradzili nas od pierwszego numeru.

„Pismo „Odgłosy” — pisał pan Eugeniusz Wojechowski — czytałem od pierwszego numeru począwszy i każdy dobry treściowo egzemplarz witam z sympatią. Zrozumiałe jest, że co tydzień tygodnik nie może być na piątce. Stali czytelnicy na pewno wybacząją te nierówności i nie zdradzają swego pisma. Nie waham się użyć słowa „swojego”, gdyż „Odgłosy” są moim piśmem, piśmem socjalistycznego łodzianina.”

Krzepiące to wyznanie, myśle jednak, że mimo wszystko warto podyskutować o „Odgłosach” z Waszych i naszych marzeń. Podsumowa nie ankiet wprost prowokuje do tego, a nie wiadomo kiedy znajdziemy lepszą okazję do rozmowy o tych sprawach. Bo nie idzie tu przecież o zagadnienia czysto techniczne, jak polepsza nie gatunku papieru, który w ostatnim zwłaszcza czasie znacznie się poprawił, ani o wyższą jakość farb drukarskich, co też nie jest oczywiście bez znaczenia. Chodzi w tej rozmowie raczej o to, aby coraz rzadziej spotykał Was zawód; aby Wasz stosunek do „Odgłosów” kształtował już nie tylko przywiązanie, nie sam nawyk czytania, ale pewność, że w każdym numerze znajdziecie coś dla siebie; że będą to rzeczy wartościowe, do których zechcecie po jakimś czasie powrócić. Tęsknotę tę dobrze oddaje list pana Jerzego Rośniewskiego, który pisze:

„Pewne numery „Odgłosów” zbieram. Są to numery, w których są między innymi ciekawe artykuły, felie tony itd. Często wracam do nich, czytam je powtórnie w chwilach wolnych”.

Chcemy być potrzebni i czytani. I chociaż nieustannie wzrastający nakład „Odgłosów” poprawia nasze samopoczucie, nie rezygnujemy z wysiłków dalszego poprawienia pisma, przybliżenia go do Waszych ambicji i potrzeb. Rzecz charakterystyczna: dwa lata temu prowadziliśmy również przy pomocy ankiet zinstytucjonalizowany flirt z Czytelnikiem, ale często spotykaliśmy się z zarzutem, że jesteśmy nudni. Coś się musiało chyba zmie nić od tamtej pory, skoro tym razem nikt już tego za rzutu nie powtórzył. To tak że krzepi, choć nakłada na nas jeszcze większe obowiązki. Wynika to dość wyraźnie z Waszych opinii, nadsyłanych w ankietach i li-

stach. Chcąc z „Odgłosów” więcej i rzetelniej dowiadywać się o Polsce i świecie, domagacie się pełniejszych informacji o Łodzi i Łódzkiej Ziemi, wymagacie od nas kompetentnych i interesujących materiałów z dziedziny gospodarki i kultury. To wszystko woda na nasz młyn, bo też chcielibyśmy, aby „Odgłosy” stały się wi zytówką Łodzi w Polsce, aby sięgnął po nie równie chętnie stuprocentowy łodzianin, co i czytelnik z odległej wioski, aby pełnym głosem mówili o tym wszystkim, co nieustannie niesie współczesność.

Myślę, że nie ma tutaj sprzeczności nawet wówczas, gdy jedni opowiadają się przeciwko wierszom, bo nie rozumieją, a inni przeciwnie wyrzucają nam, że zupełnie zaniedbujemy poezję. Myślę, że nie ma sprzeczności, gdy czytelnik z Pajęczna oburza się, że służymy wyłącznie Łodzi, a czytelnik z Piotrkowskiej stwierdza, że Łódź zaniedbujemy. Myślę, że nie ma sprzeczności, gdy ktoś zdecydowanie nie lubi felietonów „Bez strachu”, a ktoś inny od nich zaczyna lekturę numeru. Gdy jeden gani „Cwieka”, a inny wy nosi go pod niebiosa. Nie ma też sprzeczności, gdy jeden czytelnik domaga się na łamach Koprowskiego, a drugi Hemingwaya. Świadczy to tylko, że Wasz stosunek do „Odgłosów” nie jest letni, nie jest obojętny.

Można oczywiście powątpiewać, czy w ogóle jest możliwe osiągnięcie porozumienia przy pomocy ankietowych sufladek i rubryk, uwierających i ciasnych. Sądzę jednak, że mimo wszystko zdołaliśmy się porozumieć, że mamy z Wami przymierze trwałe, szczere. I że ze swej strony zrobimy wszystko, aby „Odgłosy”, Wasze i nasze „Odgłosy”, były lepsze, uwzględniające bardziej wszechstronnie Wasze zainteresowania niż dotychczas.

NAGRODY „ODGŁOSÓW”

ZA UDZIAŁ W ANKIECIE CZYTELNICZEJ

Zgodnie z zapowiedzią wśród Czytelników, którzy wypowiedzieli się w naszej ankiecie na temat „Odgłosów” rozlosowaliśmy już nagrody.

NAGRODĘ I — odbiornik tranzystorowy „Guliver” otrzymuje p. JADWIGA SPYCHALSKA, zam. w Łodzi ul. Trenknera 31 m. 1;

NAGRODĘ II — elektryczną maszynkę do golenia — otrzymuje p. LEON GĘBURA, zam. w Łodzi, ul. Boya Zeleńskiego 3 m. 24;

NAGRODĘ III — wieczne pióro — komplet — otrzymuje p. HENRYK SAMATOWICZ zam. w Gdańsku-Brzeźnie, ul. Chodkiewicza 15.

NAGRODA SPECJALNA w postaci bezpłatnej półrocznej prenumeraty „Odgłosów” za list z najciekawszy mi uwagami o naszym tygodniku przypadła p. EUGENIUSZOWI WOJECHOWI zam. w Łodzi ul. Kasowa 4 m. 6. Próż tego rozlosowano do datkowe nagrody pocieszenia w postaci książek. Otrzymują je:

1. **Kazimierz Olechowski**, zam. Łódź, ul. Zachodnia 10a m. 42.
2. **Jadwiga Wyganowska**, zam. Warta, pow. Sieradz, ul. Skarzynskiego 10.
3. **Sabina Pudelek**, Łódź, ul. Braterska 1.
4. **Zygmunt Jasiński**, Łódź, ul. Zeromskiego 33.
5. **Włodzisława Olbromska**, Łódź, ul. Objazdowa 9.

Osoby zamieszkałe w Łodzi prosimy o zgłoszenie się po odbiór nagród do redakcji codziennie w godzinach od 10 do 14. Zamiejscowym nagrody wysyłamy pocztą.

LUCYNA SKOMPSKA

Zdjęcie rodzinne z lat trzydziestych

głowy ciotek
powitykane na sztywne szyki
wyżej
głowy babek
zasupiane do końca
wyżej
głowy wujków
z motylami pod nosem
z motylami pod brodą
z motylem w butonierce
wyżej
głowa dziadka
wkrecona na Husty kark
z falbaną pomnikowego czoła
na wszystkich ustach
siedzi ten sam krzywy robaczek
wszyscy w pionach zastygli
w zgodny rodzinny płotek

Wiersz powyższy ukazał się w poprzednim numerze „Odgłosów” omyłkowo pod nazwiskiem Lucyny Skompskiej, za co redakcja przeprasza Autorkę, Lucynę Skompską, i Czytelników.

W następnym numerze „Odgłosów”:

„IDZIE PO CIEBIE ŚMIERĆ”

Lucjusza Włodkowskiego

„SÓL ZIEMI, PIOŁUN ŻYCIA”

Ryszarda Binkowskiego

oraz

opowiadanie kryminalne

„NIEBO MOŻE POCZEKAĆ”

C. B. Gilforda

LISTY DO REDAKCJI

MOJE PROPOZYCJE

Na najbliższy rok chciałabym w naszym (nie Waszym) piśmie widzieć łódzki bilans 25-lecia. Jest to rok takich bilansów w skali krajowej, ale mnie chodzi o bi-

lans łódzki. Jest wiele ciekawych spraw, które trzeba by przypomnieć. Dla przykładu: pierwsze wyższe uczelnie na terenie miasta, pierwsze Domy Akademickie, warunki studiowania i bytowania ówczesnej młodzieży, proces integracji młodzieży akademickiej, proces kształtowania się socjalistycznej świadomości (nie bez oporów), ścieranie się prądów politycznych itp.

Pierwszy w Polsce! Teatr Akademicki „Gesie Pióro” — warunki jego powstania, osiągnięcia i przyczyny tak krótkiej egzystencji (1946—1949). Są ludzie którzy z tego teatru wyszli, ludzie ciekawi i głośni dzisiaj, żeby wymienić tylko reż. Czesława Petelskiego, aktora Włodzimierza Skoczyłasa (po dobnym Włodku ma oryginalne afisze naszego teatru w

swoim posiadaniu), z najwcześniejszego zaś okresu świetnego muzyka Waldemara Kazaneckiego, aktora Jerzego Wąsowicza i śpiewaków Jadwigę Dzikówną, Izabelę Strzałkowską, Irenę Winiarską, znakomitego skrzypka Zenona Hodora z nieodłącznym akompaniorem Edwardem Przyłeckim. Ba... na jednej z zabaw akademickich w sali Teatru Kameralnego wówczas na ul. Tuwima, grała również Wanda Wilkomirska. To tylko część nazwisk, która kojarzy się z hasłem „Gesie Pióro”. Duszą teatru był obecny korespondent PAPA w Sofii Julian Pelc, z nieodłącznym przyjacielem redaktorem Adamem Bienkowskim. Nikt i nigdzie na temat naszego teatru nie pisał (jeżeli nie liczyć kilku moich drobnych artykułów w czasopiśmie

studenckich). A to już dzisiaj kawałek historii, szkoda, że ruch teatrów studenckich w Łodzi liczy się dzisiaj dopiero od „Pstrąga”. To przecież łódzkie „Gesie Pióro” było pierwszym polskim teatrem na wielu scenach na ziemiach zachodnich (każde ferie letnie i zimowe były okresem objazdów).

Jeżeli tematy wymienione poprzednio zostaną podjęte przez „Odgłosy”, to pismo spełni podwójną rolę. Da do brą, ciekawą lekturę swoim czytelnikom i uratuje od zapomnienia dorobek młodzieży akademickiej pierwszych lat studiów w nowo powstałych uczelniach.

Irena Dogiel Pionkowska

SKOK do junackiej dzielnicy

Dalszy ciąg ze str. 1

Wiosek parę drzemalo wśród pagórków i w dolinie Dłubni, rwącej rzeki. Pleszów, Mogiła, Ruszcza, Czyżyny i Bieńczyce, zabite dachami, pograżone w mrocznym zabobonie, który dzielił sprawiedliwie swoje względy między kościół i siły nieczyste. Lud był tu robotny, ale ciemny i uparty, skory do awantur. Prali się nieraz, z byle powodu, mogilanie z ruszczanami. Romans czyżynianki z pleszowiankiem był surowo, nawet krwawo potępiany. Żadnych mariaży małżeńskich pomiędzy wsiami. Żadnej współpracy gospodarskiej. No, cza sami na rynkach albo odpustach dochodziło do wymiany towarów i nieco szczególnej wymiany poglądów, po której zaplakała rzew nie niejedna rodzina.

Ten odwieczny, wydawało się: raz na zawsze ustalony porządek podkrakowskiej okolicy — został nagle zakłócony. W końcu sierpnia czterdziestego dziewiątego roku na polach mogińskich wyładowała pierwsza, nadkontyngentowa brygada SP. Była to forpocząta, kocująca aż do pierwszych śniegów pod namiotami, a później w prowizorycznym, wybudowanym własnymi rękami bloku mieszkalnym, gdzie wystawały przez okna zakopcone rury piecyków. Bractwo marzło, głodowało, tęskniło za cywilizowanym światem; z drugiej jednak strony pracowało w pocie czoła po kilkanaście godzin na dobę i dzięki temu już u słońca zimy zarysowały się masywne kontury dwóch pierwszych, nowohuckich osiedli: „Wandy” i „Willowego”.

W kwietniu pięćdziesiątego roku ściągnęło za forpocząta trzynaście innych brygad Służby Polsce: ponad dziewięć tysięcy młodych chłopaków, nad którymi pieczę sprawowali aktywiści z ZMP, specjalnie do tego celu przeszkoleni na kursach w Otwocku.

O junakach z SP czarna fama krążyła po kraju.

— Los desperados, wyjęci spod prawa wałkonie i lobuzy, dla których ciężka harowa na ustronnej budowie miała być karą za grzechy.

— Falsz! — powie Zbigniew Cichocki, sekretarz partii w Czyżynskich Zakładach Przemysłu Tytoniowego, który w owych najpierwszych dniach pełnił nad junakami nadzór. Byli to w większości wypadków ludzie trudni, szorstcy, ale ofiarni, nawet bohaterscy, podejmujący pracę w hucach ochotniczo. Zjeżdżali się z całej Polski z przekonaniem że czeka ich tu wielki mozół, ale i wielka przygoda. Wierzyli w to, w co po cichu wątpiło wielu z nas, zetempowskich aparatczyków: że uda się wśród pól i ugorów wybudować stutysięczne miasto, którego piękna wizja rozpięta się uparcie w sielskim krajobrazie.

— Fakt, że na początku rozegrał się tu wielki polski western — wspomina inny wnikliwy historyk Nowej Huty, Zbigniew Twardosz. — Raz po raz dochodziło do zatargów z chłopstwem, które we wszystkich wsiach stworzyło solidarny front, zapominając sobie dawne urazy. Kiedy zetempowski mierniczy wbijał w ziemię paliki wyznaczając zarys przyszłego osiedla, to krok w krok za nim podążała zwarta cizba niszcząca jego pracę. Kiedy wchodzili na plan murze, stawała im naprzeciw twarzą w twarz, procesja z księdzem na czele, intonując nabożne pieśni. Często błyskały kosy i noże, po których niejednego pioniera do dzisiaj nosi blizny. Były także bar dziej tragiczne epizody, ale strach o nich mówić, choć porosły cmentarną trawą.

Chłopi, którzy dobrowolnie go dzili się oddać swoją ziemię pod budowę miasta, otrzymywali mieszkanie w blokach, pracę i odszkodowania pieniężne, będące przyczyną wielu przewlekłych procesów sądowych.

— Większość jednak chłopów twardo warowała przy swoim — mówi Czesław Janik, syn wieśniaka, student Akademii Górniczo-Hutniczej. — Odrzucali wszelkie propozycje. Ja się zgadzam, że gdy

by ci z SP nie przełamali ich oporu, nie byłoby dzisiaj szkół, szpitali, żłobków, przychodni lekarskich, przemysłu, wszystkiego tego, z czego w dużej mierze korzystają teraz obywatele wiejscy. Ja sam nie byłbym pewnie studentem. Ale wiem jedno: upór chłopski nie tylko ko się wywodził z bezmyślnego złości. Przecież tu była wspaniała żywność, pszena i warzywna ziemia, do której każdy wieśniak posiadał atawistyczną miłość. Trudno się dziwić, że trafiał go szlag, kiedy dy nocą, na ciężkim śpiku, podjeżdżały mu pod dom albo stodołę cztery espowskie traktory, zahaczały liny o wszystkie cztery ścia

W roku 1955 osiedle „Hutnicze”. — W tym czasie przerażające swym ogromem założenia, astronomiczne cyfry, które mieliśmy w świadomości lądując tu w czterdziestym dziewiątym, przestały już straszyć nas po nocach — mówi Zbigniew Cichocki. — Jakże to były cyfry?... Jaka praca?...

Należało przerzucić 9 milionów metrów sześciennych ziemi; zamontować 200 tysięcy ton stali wchodzącej w skład konstrukcji; wzniesić 450 tysięcy metrów sześciennych murów; ułożyć 100 milionów cegieł; zwieźć 700 tysięcy metrów sześciennych betonu; wybudować 150 kilometrów wewnętrznych torów kolejowych i dróg.

— W tym czasie wciąż jeszcze panował tu Meksyk — mówi Zbigniew Twardosz. — Były już osiedla, ulice, prowizoryczne kino, sklepy, parę kiosków z pieczywem i wędlinami. Brakowało jednak silnej władzy. A szeroka stawa budującego się miasta ściągała dzień w dzień czarny element z całego kraju. Przyjeżdżali prostytutki. Przejżdżali złodzieje węszący za łatwym żerem. Przyjeżdżali roz-

gę uczciwie powiedzieć, nie oni piali ponurą legendę Nowej Huty, która w owych latach stanowiła plac boju najprzeróżniejszych obyczajów, charakterów i folklorów, ścierających się ideologii, wrogich sobie orientacji politycznych; legendę, która wyrządziła miastu dużą krzywdę i w pewnych konserwatywnych środowiskach Krakowa z powodzeniem pokutuje do dzisiaj.

W roku 1956 junacy z SP, wciąż jeszcze chodzący, jak rok długi, w kufajkach i gumowych butach za kolana, budowali osiedle „Kolorowe” i „Spółdzielcze”.

W styczniu 1957 roku, na zlecenie Rewolucyjnego Związku Młodzieży Robotniczej, powstał — w miejsce ZMP — Związek Młodzieży Socjalistycznej.

Espowskie hucy przestały, jak niektórzy twierdzą, istnieć. Niewiele w tym prawdy. Na budowach wciąż harowała młodzież. Ci sami twardzi, uparci, ofiarni junacy, którzy skanalizowali teren i kładli pod miasto pierwsze fundamenty.

Wielu z nich zaczynając robotę od wykopów, teraz posiadało już wysokie kwalifikacje zawodowe.

nię. Jan Kurczab, ustąpiła miejsca zawodowemu „Teatrowi Ludowemu”. Nieraz przyjechała tu gościnnie, z lekkim repertuarem krakowska Filharmonia, nieraz zawitał ze spół estradowy, ot żeby trochę luzu rozzerwać, rozweselić...

Miasto wyrastało na potęgę.

Przypomnijmy: W roku 1957 zakończono budowę osiedla „Zgody”.

W roku 1958 wybudowano osiedle „Grębałów”.

W roku 1960 powstała zachodnia część osiedla „Wzgórza Krzesławickie”.

W roku 1961 — część wschodnia „Wzgórz Krzesławickich”.

W latach 1962—1969 osiedla: „Bieńczyce” i „Mistrzejowice”.

I tak dzielnica — obliczona w pierwotnych założeniach na sto tysięcy — liczy dziś sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Nie koniec na tym:

W Czyżynach, wiosce będącej do niedawna jedyną jaskrawą przeświadczeniem między Nową Hutą a Krakowem, powstanie (na terenach bylego lotniska) czterdziestotysięczne osiedle. W ten sposób jedno z najstarszych miast w Polsce scali się ostatecznie w ogromny, monolityczny organizm z miastem w Polsce najmłodszym.

3.

Czytać to wszystko a zobaczyć — wielka różnica.

„Czwórka”, to najdłuższa linia tramwajowa w mieście, objędną łagodnym zakosem Plac Centralny i zatrzymuje się na zatłoczonym przystanku.

Gdybyś wysiadł, powalęsał się trochę ulicami śródmieścia, zrobił rundę po Alei Róż, na której wiosną naprawdę zakwitają szlachetne odmiany tych kwiatów. gdybyś zajął rządo blokowych jasnych bram, wszedł na podwórka, popatrzył na rozległe place zabaw dla dzieci, skwery i ogródki jordanowskie, boiska... gdybyś obejrzał szerokie wystawy sklepów, zaopatrzonego do statku we wszystko to, co stanowi przywileje wielkich miast — miałbyś wrażenie, że to jedna z centralnych dzielnic Warszawy.

Dużo powietrza. Dużo przestrzeni. Pięć, sześć, siedmiopiętrowe kompleksy zabudowy, jakże podobne do tych z MDM-u, bo w tych samych latach wzniesione; wysyżone, wsmiewane jeszcze nie tak dawno przez estetów, a przecież funkcjonalne, rzetelnie wykończone, o wygodnych, nie małych i nie niskich mieszkaniach.

— Jestem rodowitym krakowianinem — powiada Zenon Kłysz, mieszkający „Centrum B”. — Urodziłem się na Floriańskiej, zaraz obok „Jamy” Michalika, a do Nowej Huty przyjechałem dopiero w pięćdziesiątym szóstym, bo mnie zwabił mieszkaniem i dobrym zarobkiem na walcowni. Mogę szczerze powiedzieć, że przeprowadzałem się niechętnie. Moja żona i dzieci opuszczały stary Kraków z żalem. Teraz jednak ani ja, ani oni nie wyobrażamy sobie życia w innej dzielnicy. Raz — że się człowiek zdążył przyzwyczaić do wielkomiejskiego krajobrazu, szerokich i prostych ulic, pawilonów i sklepów, gdzie zakupy można zrobić bez tłoku i szarpania nerwów. Dwa — że jest to dzielnica przyszłości, co, jak mi się zdaje, zrozumie wreszcie krakowscy nawet snobisci. U nas powstaje, na wzór śląskiego, Park Kultury i Wypoczynku oraz, w innej części miasta, Park Młodości. My otrzymamy w siedemdziesiątym pierwszym roku całą sportowo-widowiskową na dwa i pół tysiąca miejsc. Zresztą — pod tym względem nigdy nie było źle. Latem zjeżdża tu tramwajami oraz wszystkimi pięcioma liniami autobusowymi tysiące krakowian, żeby się kąpać w naszych czterech basenach i pływać żagliwkami po naszym Zalewie. A zimą, kiedy jest plucha i wysiada lód na Wiśle, przyjeżdżają ślizgać się na sztucznych lodowiskach. Gorzej jest natomiast z kulturą: za mało kin, za mało świetlic, w kawiarniach o pierwszym zmkro nie ma mowy o złapaniu stolika, dwa to kafe daniogowe czynne są tylko do dwudziestej trzeciej, więc dużo naszych musi podróżować do Krakowa, żeby sobie w sobotni wieczór popić i potańczyć. No, ale mamy nadzieję, że i w tym zakresie nastąpi wreszcie poprawa, że rajcowie miejscy zlitują się nad naszym niedostatkiem, bo jeśli nie, to tutejsze chłopaki mogą w końcu zakasać rękawy i... sami sobie wymierzyć sprawiedliwość, budując domy kultury i tancredy w barakach.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

str. 3



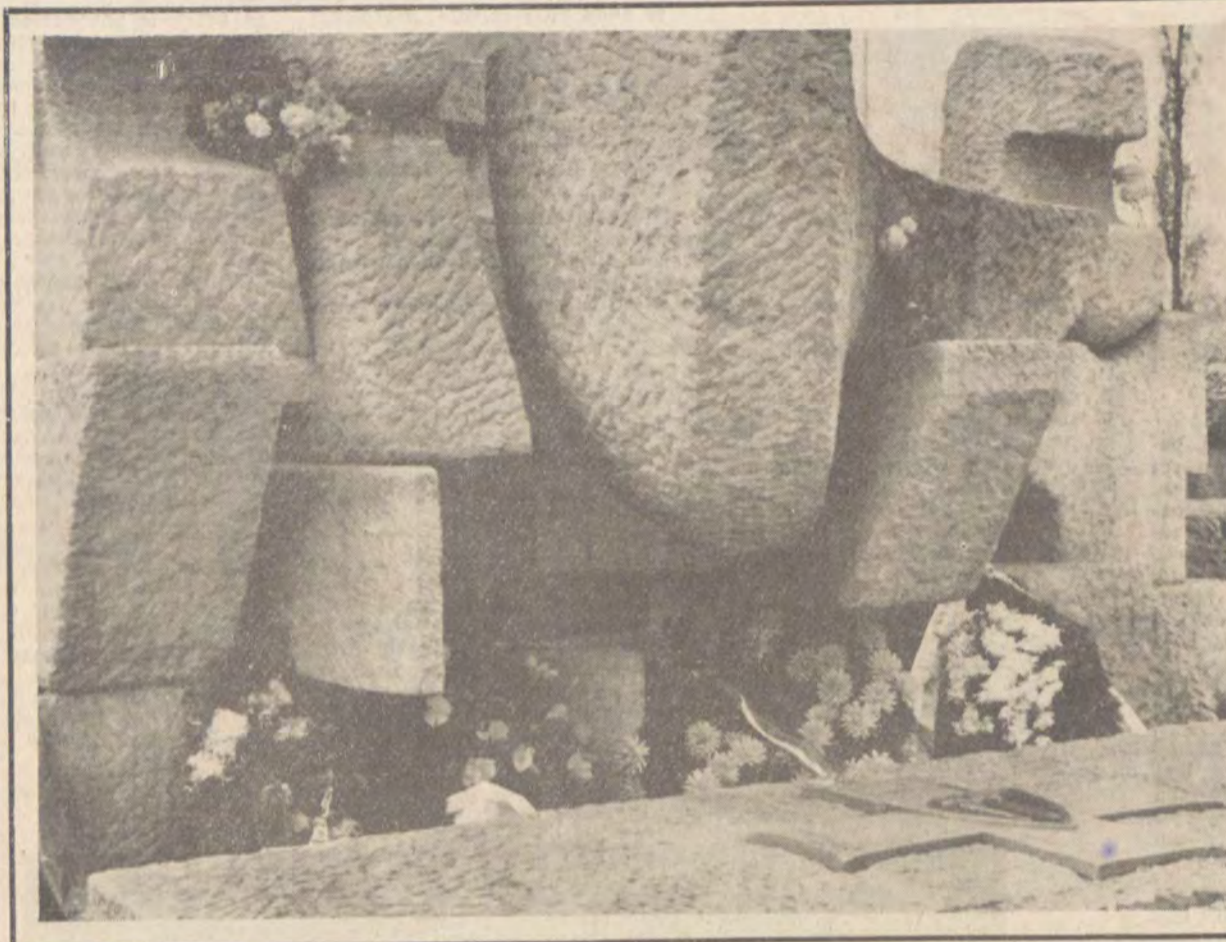
Stanczyk w nowym Przebraniu

Dalszy ciąg ze str. 1

go, przerost indywidualizmu, egoizmu, brak większej odporności, zając się oceną ideologii insurekcyjnej; jej nieobliczalnych skutków w życiu zbiorowym narodu" wypowiadali ci historycy, którzy obrali za podstawę swej refleksji upadek II Rzeczypospolitej, zaś nie dostrzegali — bądź nie chcieli tego uczynić — powstania nowej historycznej jakości w Polsce Ludowej. Rychło jednak do pesymistycznej wizji dziejów narodu nawiązała historiografia okresu stalinizmu. Był to pesymizm swoistego rodzaju sprowadzający się do ukazywania dziejów narodowych jako jednego pasma błędów i niedostatków, permanentnego „nie dorastania” i „ograniczoneści”, wiodących przez klęski do upadku. „W minionym okresie wolno nam było — będzie później pisał jeden z naszych czołowych historyków — liberalom i organicznikom stawiać co najwyżej „3—”, zaś demokratom powstańcom, a nawet rewolucjonistom co najwyżej „4”. W warunkach walki z tzw. „odchyleniem” prawniczo-nacjonalistycznym” w polskim ruchu robotniczym, jak że często na kartach ówczesnych publikacji polski patriotyzm stawał się nacjonalizmem, internacjonalizm zaś identyfikowano z nihilizmem narodowym. Nie darmo słowa Władysława Gomułki, wypowiedziane w tych sprawach na Kongresie Zjednoczeniowym, stały się przedmiotem ostrej krytyki nowego kierownictwa. Koncepcje te, których polityczne implikacje są dziś zrozumiałe, miały także określony aspekt wychowawczy. „Młody czytelnik — pisał recenzent makiety podręcznika historii Polski — który będzie się z tego podręcznika zaznajamiał z przeszłością polską, nie wzbudzi w sobie dumy narodowej, raczej będzie się wstydził”.

W dyskusji, jaka odbyła się w 1957 roku, zauważono, że wiele spośród tych podręczników „ma jako ojca duchowego... Michała Bobrzyńskiego”. Jak to się stało, że cesarsko-królewski namiestnik Galicji, jeden z czołowych konserwatystów swoich czasów, Eksceleńca profesor Bobrzyński, stał się mistrzem dziejopisów naszych pierwszej połowy lat pięćdziesiątych? Sądzę, że złożyły się na to różne czynniki. Po pierwsze — atmosferze tamtych lat od powstania pesymizmu koncepcji Bobrzyńskiego, ujęty w kategoriach laicko — pozytywistycznych, oraz akcentowanie przezeń zjawisk i procesów społecznych i gospodarczych. Po drugie — odpowiadał jej również determinizm jego koncepcji historii.

Cechą wielkich koncepcji historycznych jest, że potrafią one przeżyć swego twórcę i swoją epokę. Tak właśnie dzieje się



PAMIĘĆ
POMORDOWANYM

Fot. Józef
Piwkowski

z koncepcją M. Bobrzyńskiego, która od 1879 r. wciąż pobudza umysły ludzkie do refleksji i wyciska na nich swoje indywidualne piętno. Wydaje się że gdyby nie było Bobrzyńskiego, nie powstałaby też ostatnia książka Konstantego Grzybowskiego „Rzeczy odległe a bliskie. Rozmyślenia o historii Polski” (Warszawa 1969, ss. 292). Tylko że tym razem Bobrzyński zaadaptował dorobek historiografii dziewięćdziesięciu już lat, jakie upłynęły od ukazania się pierwszego wydania jego „Dziejów Polski w zarysie”. Nie uczynił tego sam, bo nie żył od 1935 roku, zrobił to za niego K. Grzybowski, także prawnik i także profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Bobrzyński Grzybowskiemu sporo się przy tym nauczył, zmienił nieco język wykładu, argumentację, wyretuszował niuanse, ale nie stracił dawnej trzeźwości sądu, jasności formułowania myśli, nie ornił też wiele ze swoich zasadniczych koncepcji historycznych.

Za podstawę dla swej historycznej refleksji znów przyjął upadek I Rzeczypospolitej. Śledzi jego przyczyny w odległych nieraz czasach, wytyka przerażenie się wolności w anarchię już we wczesnym średniowieczu, tropi zaród kryzysu u szczytu wielkości w dobie unii z Litwą, podkreśla, że „Unia Lubelska i przekształcenie dwóch państw o odmiennej przeszłości, odmienną strukturze narodowej i społecznej w dwa państwa pod dyktando jednej warstwy — polskiej i spolonizowanej w dwa państwa pod dyktando jednej warstwy — polskiej i spolonizowanej szlachty — otworzyła drogę ku wiodącej do katastrofy ewolucji procesu dziejowego”. Tropi źródła przyszłego upadku w zmianach struktur społecznych i gospodarczych, w przemianach ustrojowych, by stwierdzić: „wewnętrzne sprzeczności ustroju były przyczyną, że państwo stanęło u progu upadku w połowie XVIII wieku”. Ostateczną konkluzją powstanie tedy w kregu, wyznaczonym przez M. Bobrzyńskiego. To „absurdalny ustrój społeczno-gospodarczy, a dopiero jako jego skutek brak silnej

władzy” sprawiły upadek dawnej Polski. „Nie Polska, ale władza szlachecka „stała nierządem”, a władza szlachecka nie mogła w Polsce istnieć inaczej, jak w nierządzie” — powiada K. Grzybowski. Zaś M. Bobrzyński pisał: „Nie mieliśmy rządu, i ta jest jedna, jedyna przyczyna upadku naszego”.

W ujęciu K. Grzybowskiego koncepcja upadku Polski, korzeniami sięgająca po spuściznę krakowskiej szkoły historycznej, zostaje przedłożona czasowo i położona u podstaw refleksji nad upadkiem II Rzeczypospolitej. Zwycięstwo burżuazji w walce o kształt państwa polskiego, jaki miało ono przyjąć po 1918 roku — „zostało okupione porażeniem tego, co przyniosło zwycięstwo nad feudalizmem: demokracji, liberalizmu, humanizmu i ideologii burżuazyjnej; okupione zostało zwycięstwem jakże wielu elementów tej ideologii, którą burżuazja zwała jako feudalną, którą burżuazja polska zwała jako narzędzie służące okupantom i uciskowi narodowemu. Zwycięstwo w jednym momencie dziejów mieściło w sobie w zarodku klęskę w dalszym tych dziejów biegu”.

Już nie uwielbienie dla „monarchii albo lutej, rozumnie rządzonej” (Bobrzyński), ale fascynacja państwem i wynikające z niej nieukrywane sympatie dla walców — reformatorów cechuja myśli historycznej K. Grzybowskiego. I chociaż autor w gruncie rzeczy podtrzymuje pesymistyczną koncepcję dziejów narodu swych poprzedników, modyfikuje ich oceny — jak na przykład gdy mowa o ruchach narodowo-wyzwoleńczych XIX wieku. Ale ogólna koncepcja pozostaje ta sama. Uzupełniają ją indywidualne przydatki, jak rehabilitacja „ugody” w Galicji, w owym „polskim Piemencie”, zastanawiająca dzisiejszego nie-galicyskiego czytelnika, przydatki, pozostające przecież w harmonijnej zgodzie z głównymi koncepcjami autora.

Pesymistyczna — bo nie sposób na zwać ją inaczej — koncepcja dziejów Polski przedstawiona przez K. Grzybowskiego ma jednak mimo wszystko odmienny

charakter, niż pesymistyczne tezy szkoły krakowskiej. O ile pesymizm tych ostatnich był pesymizmem — jak byśmy powiedzieli — absolutnym, rzutowanym tak w przeszłość, jak i w przyszłość i dlatego mógł stanowić ideologię ugodowego stronnictwa politycznego w Galicji, pesymizm K. Grzybowskiego jest koncepcją jedynie historyczną, odnoszącą się do przeszłości. Jest to więc pesymizm ograniczony. Jako taki zawiera istotny akcent optymistyczny na przyszłość. Tkwim on w refleksji uczonego nad ideą narodu. Dawna Rzeczpospolita pozostawiła w spadku następnym pokoleniom trzy konkurowujące ze sobą idee narodu: narodu szlacheckiego, narodu właścicieli i narodu pojawanego jako ludu. „Okres od jej upadku aż do powstania Polski Ludowej był w istocie okresem walki tych trzech ideologii, okresem walki o to, jakie elementy mają nadać decydujące cechy narodowi polskiemu, gospodarce i kulturze polskiej: czy szlachta, czy kapitalistyczni właściciele, czy też lud”. Ani I, ani II Rzeczypospolite nie oparły się na tej trójce, ludo wej ideal narodu. Proces „uniaradawiania ludu” — jak nazwał go Józef Chalasiński — sięgający korzeniami jeszcze XVIII stulecia, doprowadził do Polski Ludowej. „Rok 1945 oddał w ręce tych no wych sił społecznych losy Polski” — konkluduje K. Grzybowski. I tutaj tkwi optymizm wizji przyszłości, stanowiący dialektyczną antytezę pesymizmu wizji przeszłości rozwiniętej przez autora.

W podtytule książki K. Grzybowskiego czytamy: „Rozmyślenia o historii Polski”. Refleksje, nie wyczerpujący wykład. Rozważania, nie drobiazgowy studium. Kontrowersyjne, dyskusyjne, sporne, ale zawsze — skłaniające do myślenia. Myślenie o przeszłości jest zaś zawsze związane z refleksją nad teraźniejszością. I odwrotnie.

Doc. dr ANDRZEJ F. GRABSKI

ROMAN ŁOBODA

Algieria w jesiennym słońcu

„Pierwszy” wyskoczył na pokład, choć nie jego wachta. Zatoczył się przy wyjściu. Jedna z pasażerek wyszła błada z kajuty w poszukiwaniu awiomariny.

Deszcz lunął i fala chlusiła w szyby. Uderzenia fali w prawą burzę stawały się coraz gwałtowniejsze. Ustawiamy się do fali, ale ona zmienna nie tylko w strategii, lecz i w taktyce. Ciemno się zrobiło i mgła, na rufie latają oświetlone

okienka kajut marynarskich. Boimy się zderzenia, chociaż nasz radar jak dotychczas działa. Na ekranie daleko — kilka mil morskich — świetlisty punkt. To statek.

Od czasu do czasu nasza okrętowa syrena wyje przeraźliwie. Trzymam się burty oburącz. Wpatruję we mgłę i ciemności światła, które jeżeli nie jest latarnią morską, może być niebezpieczeństwem. Nagle przez mgłę i czerń czerwone mrugnienie. Oran — mówi do wnętrza sterowni kapitan. Tak — odpowiada „Pierwszy”. Wyjemy syreną.

— Oczywiście, że nas nie wpuszczą do portu. Siła wiatru ponad dziesięć w skali Beauforta, a siła fali prawie huraganowa. Jest wściekła, krótka i podstępna. Nie ma mowy o zarzuceniu kotwic, gdyż dno morza jest kamieniste. Widać to na mapie den morskich wyraźnie. (Nazajutrz oglądałem; nawigatory pamiętają to bez mapy. Są również aparaty do badania głębokości i treści dna morskiego).

Daleko, podskakujące światelka, to Oran — oaza, do której droga zamknięta. Nigdzie przystani, nigdzie schronienia; niby tak wiele,

bo kilka tysięcy ton, a łupinka nędzna wśród masy rozścieczonej wody.

Odnutowałem noc w swoim dzienniku i teraz patrzę w rozsolone wrota orańskiego portu. Widzę nieruchome, skaliste wybrzeże miasta i zaczynają ogarniać mnie wątpliwości. A może przesądziłem trochę z tą nocą? Podchodzi do mnie pierwszy mechanik. — Wróciliśmy z dalekiej podróży — mówi.

Białe domy, jakby wyrzeźbione w skale; tu i ówdzie wystrzela w niebo wieżowiec. Dołem obrączka szosy, tunel i schody — najbliższa droga do miasta. Podejście prawie jak z plaży w Jastrzębiej Górze. Liczę stopnie. Jest ich 220. Tubylcy twierdzą, że dwieście. Mała uliczka, a potem szeroka, sierpem biegnąca do centrum miasta. Z prawej strony kilkunietrowy mur. Kiedyś był tutaj taki większy, harem — teraz koszary; jednostka wojskowa; pod murem przemyka postać w bieli. To wyznawczyni Mahometa. Wszystko zasłonięte prócz oczu.

Oświetlone bielą aż po oczy kobiety stapiają się z architekturą mia-

sta. Przemykają się prawie niewidzialne, chcąc zachować już dosłownie wszystko swoim, z francuska ubranym, mężem. Tylko niekiedy czarne rozżarzone oczy, gdy napotkam, umykają. Szaty, haity są przeważnie białe. Jednakże konserwatywne eleganki noszą haity bardziej opięte i w kolorach beżowych, seledynowych, niebieskawych — materiały bogatsze, i szpilki przy tym na nogach.

Jedna taka szła pod rękę z eleganckim Arabem i usta miała odkryte. Uśmiechnąłem się, a później obejrzałem. Jej partner również z przyjaznym uśmiechem. Zapewne uczucie dumy z urody małżonki nastroiło go tak przychylnie.

Na ogół bywa jednak inaczej — opowiadał drugi oficer. — Kiedyś, ale nie tak dawno, o mało jeden z życia nie przyplacił takich uśmiezków. Wyszedł na ląd i nie wraca. Czekamy. Termin odpłynięcia mija... Doigrał się chłop. Mężatki mu się zachciało. I tak miał szczęście. Dziś nawet wesół i powiada, że mniej kłopotów. Głos mu tylko jakos tak ścieniał i broda słabiej zarasta. Kobiety przestały go interesować zupełnie. Z

tej niegodnej myślącego człowieka manii wyleczyli go mąż ze szwagrem algierskiej „oblubienicy”.

Wszędzie ślady francuskiej cywilizacji, szczególnie w architekturze i na wystawach. Nieco dalej od centrum miasta zaczynają się zderzenia współczesnej cywilizacji ze strzępkami arabskiego folkloru. W reprezentacyjnych kawiarniach na stylizowanych pod Arabię mozaikowych posadzkach stoją nowe czesne stoliki i fotele.

Pod gmachem Opery coś w rodzaju wesołego miasteczka. Tu rejwach łącie wschodni, wszystkich jednak przekrzykuje megafon. Ktoś po francusku mówi, a później śpiewa. Tu wspaniałe typy starych Arabów w burnusach i najczystszej czerwonych, fezacach.

Kramy, stragany, karuzela, huśtawka, samochody i wielbłądy.

Wieczorem źle oświetlony Oran, jak kobieta bez makijażu, szarzej. Z portu wzgórze nowoczesnej dzielnicy straszny; ciemnymi plamami wielu wygasłych okien, miesz-



TERESA WOJCIECHOWSKA

Sam chciałeś Grzegorz...

Tak właśnie powiedziałam sobie opuściwszy salę Teatru Muzycznego po premierze „Turnieju w Rio de Maracasso”^{*)}. Bo przecież wciąż domagam się od tej sceny odejścia od tradycyjnych form operetkowych, po dejmowania nowych pozycji, nowych treści. Jednym słowem poszukiwań i eksperymentów, a eksperyment jak wiadomo jest ryzykiem, albo się uda, albo nie. „Turniej w Rio de Maracasso” jest właśnie taką próbą. Łódzkie przedstawienie jest prapremierą musicalu skomponowanego przez Piotra Hertla do libretta Jerzego Waldena i Mirosława Łebkowskiego. Piotr Hertel jest kompozytorem muzyki rozrywkowej, Jerzy Walden reżyserem i czło-wiekiem teatru od lat wielu, Mirosław Łebkowski autorem tekstów i licznych piosenek. Zdawałoby się więc, że ten zespół autorski jest jak najbardziej powołany do stworzenia interesującej atrakcyjnej pozycji rozrywkowej. A jednak „Turniej” za liczyć trzeba do eksperymentów raczej nieudanych. Dla czego?

Wydaje mi się, że główna słabość tego musicalu leży w librecie. Może najpierw kilka słów wprowadzenia. Czwórka polskich szermierzy przyjeżdża do bliżej nieokreślonego kraju, ze scenarii sędzić należy, że akcja toczy się gdzieś w Ameryce Południowej. Polacy mają tam rozegrać mecz międzypaństwowy. Ponieważ tubylcy nie czują się na siłach, aby zwyciężyć w uczciwej walce na planszy, postanawiają pokonać gości podstępem i intrygą, co zresztą praktykują z zasady w meczach sportowych. To jest główny wątek fabuły, który zresztą mógłby być podstawą zarówno bardzo dobrego jak i bardzo złego libretta, jako że dobry jest każdy pomysł dobrze zrealizowany. I forma musicalu i sam za myślenie autorski dają wiele okazji do tworzenia zabawnych sytuacji, śmiechu, błyskotliwych dowcipów, czy też satyry obyczajowej. Tymczasem „Turniej w Rio de Maracasso” jest po prostu nudny. Libreciści nie wykorzystali szans, dowcipy, czy raczej próby dowcipów są wąte, często trącą myszką, a tymczasem obyczajowa ogranicza się z grubsza do tego, że Polak może wypić morze wódki, zrobić wielkie pranie i jeszcze wygra turniej. Główny wątek zagubiony w całej masie zbędnych szczegółów nie zawsze jest jasny, a nie jasność tę pogłębia fakt, że partie choralne śpiewane są niewyraźnie i tekst często nie pochodzi do publiczności. Dowodem rzeczowym nieporadności dramaturgicz-

nej jest streszczenie libretta, które w programie zajmuje bez mała sześć stron.

Ala jeszcze gorsze od prze starzałych dowcipów są nutki „patriotyczne” nie wiadomo po co wprowadzone w tę nierealną płataninę typów i sytuacji. Bo jeśli z przymrużeniem oka, umownie traktuje się wszystko co dzieje się na scenie, jeśli przyjmuje się konwencję „wszystko na niby”, to żenującym zgrzytem muszą się nagle odezwać potraktowane zupełnie serio nutki pseudo-patriotyzmu. Groteskowy barman przeobraża się nagle w smutnego emigranta, który lirycznie zaczyna śpiewać o tęsknocie do kraju i o tym, że ma żyć za co, ale nie ma po co (piosenka jest zresztą wcale zgrabna), a na końcu, ubrany w góralski strój, z miłością w sercu i forsą w kieszeni, wraca do ojczyzny.

Notabene te pseudo-patriotyczne ciągoty, jak mi się wydaje, stają się problemem nieco szerszym w naszej twórczości rozrywkowej. Akcję „pod patriotyzm” zapoczątkowała piosenkarska młodzież i udało się jej nabrać dorosłych. Wykrzykiwane na estradach całego kraju w rytmie beatowym, wśród epileptycznych drgań, przez osobników zaroi-niętych, schrypniętych i cudacnie przebranych, pseudo-patriotyczne piosenki otrzymują nagrody przesów na zaangażowaną treść. Młodzież żyła się chwyt, wapiński dąły się nabrać. Można wydziwiać, można krzyknąć, można fałszować, aby to było o kraju, o szumiących wie-rzebach, o ziemi ojczystej. Pseudo-patriotyzm, tandetny liryzm stały się kartą wstępu na estrady i sceny, argumentem przeciwko krytyce, usprawiedliwieniem pustki ideowej i artystycznej. Kiedy słucham tych pseudo-patriotycznych piosenek, oglądam pseudo-patriotyczne widowiska mam uczucie, że ktoś oszukuje i że mu się to choć w części udało. Nie tędy droga, nie tak wyraża się prawdziwy patriotyzm.

Libretto i muzyka tworzą całość w dziele scenicznym, są ze sobą nierozdzielnie powiązane. Jeśli jedna stro na szwankuje, widz przeryca się na uważniejszy odbiór drugiej szukając tam satysfakcji lub choćby usprawiedliwienia, że rzecz trafiła na scenę. Gdyby libretto „Turnieju” było atrakcyjniejsze, bardziej ambitne, bardziej klarowne, to muzyka — lekka, melodyjna, łatwo wpadająca do ucha, dobrze zaaranżowana przez Henryka Debicha, wykonana przez orkiestrę poprowadzoną z temperamentem i wdziękiem przez Andrzeja Bachledę, nie

budziłaby zastrzeżeń, choć tu i ówdzie pobrzmiewa są nuty skądinąd motywami. Ale w tej sytuacji z trudem wytrzymuje ciężar zadania. Nużą dłużyzny taneczne, za długie wydają się partie choralne, za długie — nawet przyjemne — piosenki.

Wydaje się, że reżyser i inscenizator odczuwał braki materiału scenicznego i w obawie przed nudą starał się wypełnić je ruchem, gwarem, ciągłym tasowaniem po staci znajdujących się na scenie. Stąd zapewne, po wyczerpaniu wszystkich możliwości, ostatni duet odspiewany został na klęcząco. W sumie na scenie pełno jest hałasu, zamieszania, biegania, która nie zawsze sprawnie wrażeń zorganizowanej. Zapewne podobnie jak reżyser obiekcje miał i scenograf i temu zawdzięczamy kakofonię barw w dekoracjach i kostiumach, tłum sprawiający wrażenie przebiegawców.

Wyjątkowo trafiły mi do przekonania argumenty Jerzego Panasewicza, który w programie pisze o trudnościach repertuarowych Teatru Muzycznego, o jego zde-terminowanej odwadze podejmowania ryzyka w imię eksperymentu i poszukiwań. Miejmy nadzieję, że teatr ten spotka wreszcie nagroda w postaci dobrego, atrakcyjnego i kasowego, a całkiem nowego musicalu made in Poland. Zasługuje na to tak, jak zasługuje zespół wykonawców. Łódzka Operetka do-robila się sporej grupy wykonawców, którzy mogliby w takim musicalu pokazać co potrafia. Wskazują na to i poprzednie przedstawienia i ostatnie. Widać można się uczyć na niepowodzeniach, bo obserwując ten zespół od lat z przyjemnością obserwujemy rozwój jego solistów. Nie zawiodły i tym razem panie: Krystyna Jarmułówna, Anna Gębicka i Lola Szczęch, panowie: C. Jarosiewicz, Jan Padkowski, Witold Jawis, Jerzy Nejman, Edward Kamiński, Zb. Bobowski, P. Augustyniak i inni (przepraszam, że nie wszystkich wymieniam z imienia, ale niestety program uważa-je za stosowne podawać tylko pierwsze litery imion wykonawców, a pamięć jest zawo-ducna). Pojawia się też na scenie drugie pokolenie aktorskie, tu reprezentowane przez A. Fogla — juniora, który zapowiada chyba dobrą kontynuację tradycji rodzi-nych. Myślę też, że godna pochwały jest stała tro-ska teatru o poziom muzyczny przedstawię, o staranne przygotowanie baletu i chóru.

*) „Turniej w Rio de Maracasso”. Muzyka — Piotr Hertel; libretto: Mirosław Łebkowski i Jerzy Walden; opracowanie muzyczne i aranżacja: Henryk Debich; reżyseria i inscenizacja: Tadeusz Cygler; scenografia i kostiumy: Bolesław Kamykowski; choreografia: Zofia Kule-szanka. Prapremiera polska, Teatr Muzyczny w Łodzi.

Polonica

BYDGOSKI ZJAZD ZLP

Zjazd Związku Literatów Polskich, który niedawno zakończył się w Bydgoszczy, jest już przedmiotem pierwszych komentarzy prasy radiotelewidzkiej. Najpoczytniejszy w środowiskach twórczych ZSRR tygodnik „Literaturnaja Gazeta” w obszernym nocie in formacyjnej cytując przedzjad-zowe wypowiedzi wiceprezesa ZLP Jerzego Putramenta, pisarza Romana Bratnego oraz Władysława Machajka, redaktora naczelnego „Życia Literackiego”.

„NIE ZAPOMNISZ OWYCH DNI”...

W stałym dziale kronikarskim miesięcznika „Inostran-naja Literatura” znajdujemy omówienie spektaklu Teatru im. Jaracza w Łodzi pt. „Nie zapomnisz owych dni”, w którym reżyser Olga Koszucka zażytkowała rosyjskie lu-dowe i rewolucyjne pieśni. „Nie było naszym zamiarem tworzenie monumentalnej, historycznej epopei — cytuję „I. L.” wypowiedzi Olgi Koszuckiej — spróbowaliśmy przedstawić w artystycznej formie te odległe, bohaterskie lata, które przechodzą już do legendy”.

Wysoko oceniając twórczy wysiłek całego zespołu Teatru Jaracza, któremu udało się stworzyć piękne, porwujące widowisko, miesięcznik radiotelewidzki odnotowuje wkład kierownika muzycznego Piotra Hertla, choreografa Krystyny Mazur oraz scenografa Liliany Jankowskiej.

GALCZYŃSKI PO NIEMIECKU

W serii wydawniczej „Bibliothek Suhrkamp” we Frankfurt nad Menem ukazał się tom utworów K. I. Galczyńskiego „Zielona Gąś” (Die Grüne Gans) w przekładzie zastrzeżonego tłumacza literatury polskiej laureata polskiego PEN-Klubu, Karla Dedeciusa. Tom, wydany bardzo starannie, z ilustracjami w tekście, zawiera cenne po-stacie o życiu i twórczości poety oraz przypisy — jedno i drugie pióra tłumacza. Trzeba dodać, że przypisy są tak celne i kompetentne, jak rzadko kiedy zdarza się w zagranicznych wydaniach polskiej literatury. Przypominamy że w tej samej serii „Bibliothek Suhrkamp” ukazały się wcześniej utwory Ignacego Witkiewicza, Jarosława Iwaszkiewicza i Tadeusza Różewicza.

Polonica

kań, które dawniej zajmowali Francuzi. Prawie półmilionowe miasto Alberta Camusa, dziś liczy zaledwie 300 tys. mieszkańców. Orańczycy, jak sądzą, nie odczuwają trudności mieszkaniowych.

Algier, jak przystało na stolicę, ma przestrzeń, rozmach i tempo. Tu ruch kołowy i pieszych wydaje się nie mniejszy niż na skrzyżowaniu Alej z Marszałkowską.

Z dużego, podzielonego na sektory portu idzie się nieco pod górę „ulicą nadbrzeżną”, później najdłuższą i bardzo ruchliwą — Rue Hassiba Ben Bonali. Nie mamy wiele czasu, nazajutrz odpływamy. Spieszno nam ujrzyć starą dzielnicę Algieru tzw. Casbah. Nową dzielnicę miasta mamy już za sobą. Coraz węższe uliczki, coraz gwarniej, coraz barwniej i coraz ciekawiej. Na skwerze Port Said zdobywamy przewodnika, a raczej ona nas zdobywa. Kręca się tu bła-de twarze z aparatami, z obłędem ciekawości w oczach, nietrudno ich odróżnić od osiadłych w Algierii innych Europejczyków. Naj-więcej oczywiście Francuzów, a było ich znacznie więcej. Młodzieńcy Algierii różnią się jedy-

nie od rówieśników z Europy urodą. Nigdzie przedtem i nigdzie później nie widziałem tylu pięknych i sztywnie ubranych (z francuska) młodych ludzi jak w Algierze. Nigdzie również w Afryce Małej i Azji nie widziałem tylu odkrytych twarzy kobiecych. Niewiele to jeszcze, ale jakże dużo, zważywszy tradycje religijne, które hamują postęp w tym względzie.

Nie opodał skweru Port Said mieści się Algierski Teatr Narodowy. Nagle wpadamy w labirynt wąskich i tajemniczych uliczek, ulicznych przejść, schodków i dziedzińców. Nasz przewodnik jest we soły i bezpośredni. Trochę mówi po angielsku i niemiecku, przy czym pomaga sobie pomysłowo rękami, szczególnie gdy w ich zasięgu znajduje się któraś z naszych pań.

Casbah, to stare miasto, barwne i tajemnicze. Idziemy i nagle z mrocznej uliczki wchodzi się na dziedzińiec otoczony rzeźbionymi kolumnami; jest jasno, gdyż pada tu górne, słoneczne światło. Takich budowli na wzór atrium

jest tutaj wiele. Kafelkowa mozaika mieni się gamą kolorów i pejzaży. Wielbłądy kroczą po pustyni, znużony wędrowiec dociera do oazy, gdzie palmy się kotłują i prawie słychać szum wody. W istocie fontanna opada do kolorowego basenu. Kiedyś to był pałacyk któregoś z możnych. Wśród innych komnat pokój haremowy; ma jedno niewielkie okno i mocne drzwi. Wokół kolumnad mroczne komnaty i chłód w środku „atrium” i czyste niebo. Przed wojną Francuzi mieli tutaj Towarzystwo Kompanii Żeglugaowej, a teraz dowiadujemy się z szyldu — Front Wyzwolenia Narodowego. Jeszcze nie wszystkie pokoje zostały urządzone, tymczasem w pokoju haremowym stoi kasa biurowa, biurko i ławka. W innym, podobnym pałacyku mieści się biblioteka i czytelnia. Nasze najcenniejsze wywołuje pewne poruszenie wśród oddających się lekturne, przeważnie młodych ludzi.

Teraz zwiedzamy prywatne mieszkania, jest ich kilka wokół kolumnad i „studni powietrza i światła”. W tym klimacie pomysł starożytnych nadal jest

niegłupi. W mieszkaniach miesza-nina folkloru z nowoczesnością. W jednym takim trzy małe pokoje: jeden z tapczanem, telewizorem i niskim fotelikiem, w drugim miękki dywan, pufy, makaty, dzbany i barwne arabskie poduszki. W trzecim najmniejszym coś, co gospodyni prezentuje z uśmiechem pobłażania i triumfu. Wielkie łóżko małżeńskie od którego w górę, aż do sufitu, delikatnie, pięknie kuta, połączona krata. W górnej części kraty okienko. Drzwi rozsuwane, śpięte ozdoba kłódką. Archai-czne łóżko małżeńskie — tuma-czy przewodnik — pozostało jako pamiątka.

Niezwykle humanitarny pas cnoty — myślę — ograniczał wpraw-dzie swobodę ruchu, ale za to okienko, przez które służba mogła podawać nawet naczynie do mycia, stwarzałyby akcent łagodzący nawet do współczesnego bhp. Nieuniknione w tych warunkach tycie kobiety dodawało jej tylko sex-appealu, co nasz przewodnik dyskretnie nadal aprobuję.

Idziemy dalej. Kupcy zapraszają. Towary leżą, stoją, wiszą, omal

że nie fruują. W pracowni-skle-pie tam-tamów ogarnia wszyst-kich szal muzyczny. Za parę pa-czek papierosów wynosimy glinia-ne instrumenty. Przewodnik bębni na jednym z tam-tamów. Rozba-wione dzieci mówią: bonjour ma-dame, bonjour monsieur. Przez po-top indyków, kur, kokosów, po-marańcz, mandarynek, rzodkwi, rzodkiewek, granatów, dyni, pomi-dorów, fig, orzechów, orzeszków, kasztanów... Uf... wypływamy na przestrzeń ulicy Bonmhidi Larbi. Później w dół, w kierunku morza i portu. Tu ogarnia nas inny gwar, inne tempo, inny rytm i inny styl. Samochody, autobusy, witr-ny sklepowe, hotele (dwanaście), restauracje (dwadzieścia pięć), muzea (cztery), kabarety — „In modern Algiers”.

Na nas już czas. Wracamy „Ulicą nadbrzeżną” pełni wrażeń.

I choć trudno tak od razu zdefi-niować nasze refleksje, jedno nie ulega wątpliwości: jesteśmy w innym kręgu kulturowym, w innym niż nasz świecie i wśród inaczej żyjących ludzi.

TELE WIZOR

Gdy mówią, a mówią chyba szczerze, nawet na pewno mówią szczerze, bo im też będzie kiedyś na tym zależało, że człowiek pięćdziesięcioletni nie ma prawa nazywać siebie stałym, to im chętnie potakuję, bo i mnie samemu tak się wydaje, zwłaszcza iż nie są mi obce rozmaite pokusy, z którymi nie zdradzam się przed żoną i bliskimi, a czasem i... przed sobą, gdyż są to pokusy błazenady. Więc przyznaję im rację, nie sprawia mi to jednak satysfakcji, bo przecież nie wiek i nie rodzaj pokusy świadczą o tym, że się nie jest starym.

Poczucie samotności o tym świadczy, że się jest starym, a z tym poczuciem od dawna walczę na próżno, nie umiem obrzydliwego poczucia zniszczyć lub choćby przezwyciężyć. Rozmaite sploty okoliczności złożyły się na to wzmagające się poczucie, wobec którego jestem przeważnie bezradny.

Zaczyna się od tego, że moje miasteczko, z którego pochodzę, w którym w chwili wybuchu wojny miałem dwadzieścia dwa lata, jest nie tylko dla znajomych, ale i dla żony, syna, córek, zięciów (o których mniejsza) oderwanym pojęciem, punkcikiem na mapie, pod warunkiem iż mapa jest wyjątkowo szczegółowa, gdyż owo miasteczko, moja Mekka i Medyna, zostało poza granicami kraju. Sam z różnych powodów nie widziałem owego miasteczka od czasu wybuchu wojny i przypuszczam, niejako umiając je na pamięć wraz z ludźmi, ulicami, domami, kościołem, cerkwią, i trzema aż bożnicami, przypuszczam, że ono istnieje tylko we mnie. Bo jakże może być inaczej, skoro przed dwoma laty spotkałem się z kolegą gimnazjalnym, serdecznym kolegą (niestety, mieszka w mieście dość odległym od mego miasta), wdałem się z ochotą w wspominki, nagle okazało się, że na temat oczu Irki, w której obaj duryliśmy się po sztabacku, powstała kontrowersja: byli pewnie czy byli niebieskie? On twierdził, że pewne, ja, że niebieskie. Zniechęciliśmy się do siebie tak dalece, iż w dalszej rozmowie dotykaliśmy jedynie spraw współczesnych, a potem, aby otrząsnąć się z przykrego wrażenia, zaczęliśmy żartować, że tak na do brą sprawę to tamtego mitologia, na dobitkę, przynajmniej dla mnie, jakże męcząca. Bo gdyby było inaczej, doczekałbym się styku dwóch dni wolnych od pracy, zdarza się to w kalendarzu, zaprowadziłbym całą rodzinę, a zajmujemy pięć pokoi i żyje się nam dość zgodnie, otóż zaprowadziłbym całą rodzinę na stację, pojechałbym do mego miasteczka i tam ją oprowadziłbym po uliczkach i zaułkach. Patrzcie, oto dom mego ojca, który nie żyje, ale dom stoi (tamten rzeczywiście uległ zburzeniu, człowiek wiarygodny o tym mi opowiadał), oto gimnazjum (tam to rozwalili pociski), gdzie obrywałem dwoje, ale nie zawsze, tu mieszkali państwo Malinowscy, a w tym domku z sadem, w którym najwcześniej dojrzewały najlepsze papierówki, państwo Klimaszewscy, z których opinią zawsze liczyli się moi rodzice, gdyż z czyją opinią trzeba się liczyć, a z czyją opinią można się liczyć w dużym mieście, skoro gdzie indziej pracujemy, gdzie indziej zaś jemy i bawimy się, gdzie indziej oglądamy filmy i przedstawienia. Kto na nas stałe patrzy i nas obserwuje, a więc nas konstruuje i wyrabia o nas sąd nie na podstawie szczegółu czy momentu? Wszyscy czyli nikt. Kto nas potępia lub chwali? Ci, od których służbowo zależy, ale jest to ocena urzędowa, biurokratyczna, pozbawiona sentymentu, podyktowana przez aktualną tekturę, z naszej z kolei taktyki wynikająca. Niektórzy utrzymują, że tak nawet jest lepiej, można się ukrywać, sto sunki w małych miasteczkach bywają nieznosne. Nie dotyczy to jednak mego miasteczka i to z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze, za wcześniej je utraciłem, by się do niego zrazić, po drugie, wzmagają się we mnie przekonania, że tam było najbezpieczniej, że ludzie byli dobrzy, choć nie pozbawieni rozmaitych wad. Ale im też pomagało to, że są na naszych oczach. Nie zdążyłem poznać samo dzielności, zarabiać, wejść w intrygi i użerki. Wszyscy więc wydawali się lojalni i... rozsądni. I po trzecie, jednak i po trzecie: nawet na miejscowym cmentarzu nie czułem się obco, napisy na blaszanych tabliczkach i kamiennych nagrobkach przemawiały do mnie, nieboszczycy żyli dłużej! W tym zaś dużym mieście pochowałem mnie okok krzyży z nazwiskami, które nie mówią. Może to głupie, ale i z tego powodu boję się śmierci. Wydaje mi się, że tam, gdzie część ludzi znało się osobiście, zaś prawie całą resztę z wi-



Fot. E. Kudaj

dzenia, łatwiej byłoby się pogodzić z naturalnymi konsekwencjami losu.

Przecież moje córki i mój syn nie mają żadnych odnośników do przeszłości, ojciec mój zmarł w nieznanym i mnie miejscu świata, matka młodo zmarła w owym miasteczku, brat mój przebywał w Kanadzie, przedtem był w Australii, nie odzywa się, gdyż podobno mu się nie wiedzie. (Jest zapewne z miasteczkiem uczuciowo związany, więc wyobrażam sobie jak bardzo zatrute ma życie! Są tacy, kto wie, może zawsze będą tacy, i to stanowi dla mnie jakieś pocieszenie, co poza bliższą ojczyzną wszędzie będą tylko wygnani, ale nie umiającymi zorganizować sobie życia!)

Moje dzieci liczą swoje istnienie od chwili, którą zatrzymała ich świadomość. Gdybyśmy mieszkali tam w miasteczku lub gdyby było ono osiągalne, ich świadomość byłaby znacznie starsza, ich poczucie odpowiedzialności większe, oni tym czasem są właściwie bez rodowodu, żyją na bieżąco, nie ma nic z żywej tradycji, moja skromna osoba nie jest jeszcze jej potwierdzeniem, potrzebni są, jak i w sądzie, świadkowie.

Jeszcze mój dziadek, dobrze go pamiętam, każdego niedzielnego ranka, zanim poszliśmy do kościoła, zwoływał wszystkich na wspólne śpiewanie godziniek, nie lubiłem ani dziadka ani godziniek, a jednak to była więź, przynależność do czegoś, wiedzieliśmy, że jego ojciec i jego dziad również ich zwoływał na wspólne godziniki, nasze życie, nawet najmłodszych sięgało daleko w przeszłość, aczkolwiek była ona zmitologizowana. Jednak w znacznie mniejszym stopniu. Tyle rzeczy i przejawów o niej świadczyło, tyle rozmów, którym można było się przysłuchiwać.

Czasem staram się nawet przekonywać siebie, że z tych powodów mogę być śmieszny i niezrozumiały. Ale co ja na to poradzę. Małe wydarzenia nabierały wagi. Długo się je przeżywało choćby i z tego względu, że jeszcze prawie nie miało się przeszłości indywidualnej, można było snuć nadzieje na przyszłość, nadając jej różne wersje, z których żadna potem nie stała się czymś realnym. I nie dlatego, że owe wersje były czymś nazbyt śmiałym. Nie dziwię się więc, że nawet tamtą nudę można było lubić. A już ciszy to tam było w nadmiarze, to może był jedyny nadmiar. Ciszy aż wyczuwalnej jakże często przyświecała oczekująca brązem olbrzymi księżyc. Czasem mnie samemu wydaje się, że to nawet nie miasteczko, ale owo naiwne poczucie bezpieczeństwa było ważniejsze.

Owszem, wszyscy prawie, którzy spotykamy się i śpiamy w pięciopokojowym

mieszkaniu (udało mi się jednak zapewnić sobie przynajmniej fizyczną bliskość całej rodziny, ale i ten dom mają zburzyć, postawić na jego miejscu wieżowiec!) jesteśmy zalatani, nasze sprawy i obowiązki zabierają nam wiele czasu, za dnia wszyscy przebywamy gdzie indziej. Tak musi być i tak bywało, bo to jest życie. Ale gdzie są te wspólne jakieś sprawy, wspólne zainteresowania, wspólne tematy, gdzie zwłaszcza tradycja rodzinna? Co, mówię, to dla przykładu, wspólnie lubimy w mieście? Na nieszczęście miasto jest brzydkie łatwiej dogadać się na temat, czego nie lubimy. Negacja, taka przynajmniej negacja, nie daje poczucia wspólnoty.

Mamy oczywiście wiele wspólnych spraw, są one jednak raczej sprawami życia praktycznego. Oni, syn i jego żona, córki i ich mężowie są w jakimś sensie ahistoryczni, wykorzeni z przeszłości konkretnie, do niczego nie przypisani. Owszem interesują się czasem Jagiellonami i nawet Kazimierzem Wielkim, z ciekawością pytają o czasy Piłsudskiego, ale nie o narodową tradycję mi chodzi. Nie mamy wspólnej otoczki z rodowodem, wspólnej przeszłości.

Z radością nadzieją przed dwoma laty podjąłem inicjatywę syna, by kupić na raty telewizor. Ustawiliśmy go w pokoju, który jest salonikiem całej rodziny, tam zaczęliśmy się zbierać. Myślałem, że po jakiejś sztuce będziemy zawzięcie dyskutować, że coś obejrzanego szczegółowiej będziemy chwalić lub ganić. Ale oto gasił się światło, uprzednio sadowiąc się na krzesłach, zapadło milczenie. Czasem ktoś rzucił jakąś uwagę, potem kończyła się audycja, prawie natychmiast widzowie rozchodzili się do swoich pokoi, do swojego życia. W dodatku, jak dotąd, w telewizji nic nie było o mojej przeszłości, o życiu przedwojennym, podobnym w jakichś szczegółach do mego, nie było nic nawet o moim pułku piechoty, który walczył dzielnie choć rozpaczliwie. Nigdy nie było nic o wojennym losie niektórych Polaków, do których i ja należałem. (Z tego to względu przestałem brać udział w placeniu dalszych rat za aparat. On synowi i córkom z ich mężami bardziej niż mnie jest potrzebny).

Nigdy nie dano mi do zrozumienia, ale ja to wyczuwam, ja jestem przekonany, że nikt z młodych nie wierzy w moją przeszłość, a jeśli wierzy to traktuje ją obojętnie, ona nie jest ważna, gdyż jej jedyny materialny ślad, aparat do golenia z poczerńiałą rączką, to przedmiot nie budzący żadnych skojarzeń. (Raz zjawił się u nas mój dawny towarzysz broni, dzielny w swoim czasie porucznik, myślałem, że nim się popiszę, ale był wstawiony i w ogóle w pożalowania godnym stanie! (Zona, owszem, bierze udział w mojej przeszłości, sądzę jednak, że tylko for-

Ował Czarnego Morza

Czarne morze, lśniące lustro
przyływ kołysze noc,
zanim cykady usną
spłoną słowa gorące —
przebiegniesz księżycu ogród
w klasztornych duchów krąg
a gwiazd błyszczący winogrod
zwiąże nam czute ręce.

Jak wędrowcy u przydrożnej studni
wpatrzeni w nieznany blask
zażywamy radości trudnej
która spłynęła z gwiazd.

Lustra

Zakochana patrzy się do lustra
na twarzy ma czerwone wypleki żalu
zakochana spogląda na księżyc
i w dłonie bierze srebra chłód,
może to zakochany jest księżyc
przeglądając się w dziewczęcym lustrze złud.

Chwila

— radość zsunęła się jak żdźbło,
promień na czoło padł —
jakby wiewiórka go zrzuciła?
może to tyś tu ze mną była?
bo właśnie pisałem sekretny list.
I cóż mi bomba atomowa,
co mi tam czyjaś zawiść podła,
gdy jedną chwilę los mi podał
promień ze złota —

malnie, ona ma do dziś swoje miasto rodzinne, które leży nad Wisłą, w tym mieście dzwonią jeszcze przedwojenne dzwony, w jej gimnazjum nadal ktoś się uczy, ona tedy również, chociaż z tym się nie zdradza, choć temu stanowczo zaprzecza i nawet płacze, musi się wewnętrznie zżymać ze zniecierpliwienia, gdy o swojej przeszłości wspomina. Tak jest, skoro dotąd zapomniała imienia mego dziadka, nie zapamiętała, że córka państwa Klimaszewskich, starsza córka, gdyż mieli oni aż trzy córki, popelniła samobójstwo, a było to w altance u adwokata Gijewicza, kochała się w jego młodszym synie, prawdę mówiąc, łobuzie bez odpowiedzialności. (Dzieci nasze bardziej lgną do matki, gdyż ona może się wylegitymować z przeszłości, może ją im pokazać i czasem to robi!)

Gdybym przynajmniej umiał wspominać obrazowo, po literacku, może narzuciłbym jakąś moją wizję. Ale nie umiem. Zgłositem się nawet raz do pewnego pisarza z propozycją, że mu bezinteresownie dostarczę dobrego tematu, nasz bowiem dyrektor oświadczył kiedyś, że oni cierpią na brak tematów, pisarz był grzeczny, na wet uprzejmy, cóż z tego, kiedy zwręcznie odciął się od propozycji, dowodząc, że nawet dobry pisarz (a on się takim nie czuje) musiałby o takim miasteczku napisać cały tom, by coś w takiej sprawie wskórać. A i jego najlepszy zamiar mógłby się znaleźć w sprzeczności z realizacją, bo gdy zasiadłby do pisania, to prawdopodobnie poniosłoby go pisanie, proces pisania, rodzaj uzdolnień przeina-czyłby początkowe intencje i założenia. Może zresztą to prawda? Sam nieraz na konferencjach zabieram głos i, kiedy skończę, zawsze wracam na miejsce z hadkim przekonaniem, że nie to powiedziałem.

Co tam zresztą mówić o pisarzach, niech sobie piją wódkę i cierpią na brak tematów! Ja jestem, na to coraz częściej wychodzi, znikąd! Wszystko na to się składa!

Owszem, nadal zasiadamy niekiedy przed telewizorem, to i owo odczuwamy i przeżywamy, ale po swojemu i rzadko kiedy wszyscy, jak na początku, całą rodziną. Bo przecież i wieczorami niektórzy z rodziny mają więzi z miastem. Tym bardziej, że według nich, za mało jest w telewizji muzyki nowoczesnej! Jak dla kogo!

Ja sam zresztą wychodzę wieczorami na miasto. Grywam z paroma znajomymi w remi, oczywiście na pieniądze. Nie są to duże pieniądze, rujnujące nasze osobiste budżety. Gramy w skupieniu, milcząc. Nie znane nam są nasze biografie. Gdy o coś siebie pytamy, to z rozłargnieniem: („Ach, najmocniej przepraszam, wydawało mi się, że pan pochodzi z Radomia!”) I tylko jed-no jest jasne: nikt nie chce przegrać! To też więź!

Z wizytą u Jarosława Iwaszkiewicza



Jarosław Iwaszkiewicz

Ostatni dzień lutego. Jest tak jak w jednym z wierszy Iwaszkiewicza: „Zimny wiatr żenie polem niebieskie baranki”. W południe, gdy dotarliśmy do Stawiska, było już zupełnie ciepło. W takie dni wyczuwa się ową nieuchwytną i trudną do określenia słodycz przedwiośnia.

20 lutego, Jarosław Iwaszkiewicz obchodził swoje siedemdziesiąte piąte urodziny. Prasa codzienna i literacka pisała z tej okazji wiele o bogatym i niezwykle barw-

nym dorobku twórczym jubila. Poeta, prozaik, dramaturg, tłumacz, publicysta, autor monografii o Chopinie, Bachu i Szymanowskim, podróżnik, działacz — pełnił iście renesansową rolę. Niewielu jest w Polsce pisarzy o podobnych uniwersalnych zainteresowaniach i talentach. Chciałoby się rzec: to ostatni, co tak poloneza wodził.

Zastajemy Jarosława Iwaszkiewicza w dobrym nastroju. Rozmawiamy, pijemy herbatę, spacerujemy po rozległym parku. Państwo Iwas-

kiewiczowie mieszkają w Stawisku od 1928 roku. Ileż przez ten dom przewinęło się ludzi, ile sław! W czasie okupacji dom w Stawisku stał nowym azylem dla polskich pisarzy i artystów, którzy znaleźli tu schronienie i pomoc. „Były takie dni i tygodnie — mówi Jarosław Iwaszkiewicz — kiedy przebywało u nas dwadzieścia a niekiedy i więcej osób”.

W gabinecie pisarza pełno książek, listów, fotografii, obrazów. W rogu półkolista kanapa, jakiej dziś już nie spotkać. „Kto tu na tej ka-

napie nie siedział! — wspomina Jarosław Iwaszkiewicz. — Karol Szymanowski, królowa belgijska, Ilja Erenburg i wielu, wielu innych”. U nóg pisarza dwaj jego wierni przyjaciele: Trop i piękny pudel afrykański.

Tu, w Stawisku, lepiej rozumie się pisarza i jego dzieło. Jarosław Iwaszkiewicz, który chętnie podróżował i zjeździł całą Europę, zakochany jest w polskim pejzażu i równie często jeździ po Polsce. Zna doskonale swój kraj, którego urodę odbija jego twórczość. Wiersze, opowiadania i powieści Iwaszkiewicza przesycone są opisami przyrody ojczystej. Oto, jak sam mówi o tym we wstępie do „Opowiadań wybranych”, ogłoszonych w 1964 roku: „Brzezina” — to pejzaż raczej podwarszawski, może być także z okolic Szydłowca; „Róża” prowadzi nas do wioski rzeszowskiej; „Tatarak” — to brzeź Wisły w Zawichoście czy w Tarnobrzegu; „Kochankowie z Marony” dają nam obraz jeziora i wsi z Płockiego; „Stara cegielnia” to Pruszków w czasie okupacji. W „Młynie nad Utratą” odmalowałem pejzaż z Poznania, z okolic Jarocina. A „Wiewiórka” to oczywiście stolica — „miasto” Brwinów”.

A któż z nas nie pamięta pięknego wiersza „Obłoki” z tomu „Inne życie”:

Od Rozwadowa, Łącuta,
Leżajska
Lecą obłoki jak światła
lądzie.
Na sinym niebie ta flotylla
rajska
Jak szczęście, którego nie
będzie.
Niedogoniłone i nieodgadnione,
Splywają śladem znad Sanu,
Cienie przelotne, ptaki
zielone
Nad miastem zapomnianym.

Jarosław Iwaszkiewicz jest jednym z najbardziej polskich pisarzy. Jest znanym i cenionym pisarzem w Europie.

JAN KOPROWSKI

Zdjęcia A. Wach



Jarosław Iwaszkiewicz i autor artykułu



Pod ulubioną sosną



Biurko pisarza



Pisarz przy pracy

CZŁOWIEK KTÓRY WIEDZIAŁ WSZYSTKO

Nazwisko: Gehlen. Imię: Reinhard. I imię i nazwisko bardzo pospolite w Niemczech. Ale 66-letni Reinhard Gehlen jest jedyny w swoim rodzaju. W okresie II wojny światowej był szefem hitlerowskiego wywiadu, a tuż po niej stworzył służbę wywiadowczą Niemieckiej Republiki Federalnej i kierował nią aż do maja ubiegłego roku. W kwietniu ub. roku niektóre pisma podały informacje, iż Gehlen odchodzi na emeryturę. Wywołało to wielkie zaniepokojenie w wielu krajach zachodnich, a szczególnie w Stanach Zjednoczonych. W Bonn urywały się telefony. Również w określonych kołach bońskich przypuszczano, nie bez powodu, iż odejście Gehlena ze stanowiska szefa zachodnioniemieckiego wywiadu spowoduje poważne komplikacje.

„DOKTOR” do SPECJALNYCH PORUCZEŃ

Gehlen, którego bliscy współpracownicy nazywali „doktorem”, choć nie miał żadnych praw do tego tytułu, uchodził w zachodnich Niemczech za „człowieka który wie wszystko”. Stworzony przez niego, bardzo rozgałęziony aparat szpiegowsko-dywersyjny, z budżetem około 100 milionów marek rocznie, zatrudnia blisko tysiąc osób na etacie. Ponadto dysponuje on tysiącami agentów „nieetatowych”, wynagradzanych „akordowo”, za wykonanie tej, lub innej operacji szpiegowskiej, czy dywersyjnej.

Jedną z głównych trosk „doktora” było dążenie do stworzenia w krajach socjalistycznych rozgałęzionej sieci szpiegowskiej. Aby osiągnąć zamierzone cele, Gehlen uruchomił specjalnie wyszkolonych i wyselekcjonowanych agentów, których w określonych kołach na Zachodzie nazywają „V-agentami”. „V” jest pierwszą literą słowa „vertrauen”, („zaufanie”). Najbliższym polem działalności V-agentów jest Niemiecka Republika Demokratyczna. Wielu z nich ma tam krewnych i jeśli państwo mają w porządku, szlaban graniczny w Berlinie nie stanowi dla nich przeszkody. V-agenci usiłują tam nawiązywać kontakty szpiegowskie, nieraz wymuszając informacje drogą szantażu. Każdy chwyt jest dozwolony...

Choć działalność szpiegowsko-wywrotowej organizacji Gehlena jest okryta głęboką tajemnicą, to jednak znana jest struktura organizacyjna tego aparatu oraz zadania, które Gehlen zleca do wykonania swoim agentom:

V-agenci są zobowiązani do wykonania wszelkich poleceń przedostania się do określonego kraju naszego obozu. Na przykład, we wschodnim Berlinie V-agent musi nawiązać kontakt z jakimkolwiek funkcjonariuszem milicji, pożądany jest oficer, lub funkcjonariusz formacji wojskowej, i nakłonić go do współpracy z organizacją Gehlena. Jeśli to się uda, agent zdobywa informacje, trzyma w garści kan-

dydata na szpiega i wymusza na nim, drogą szantażu, prowadzenie „akcji demoralizującej” w miejscu jego pracy.

Po przejściu do obcego kraju V-agenci często zmieniają miejsce zamieszkania. Jeśli spoczywa na nich zadanie tak zw. „sprawdzania” (sprawdzanie informacji miejscowego szpiega), zamieszkują w pobliżu danego obiektu strategicznego i stale go obserwują.

Szczególnie złożone i niebezpieczne zadanie wykonuje V-agent, gdy otrzymuje polecenie „przeniknięcia” do kontrywiadu przeciwnika, żeby zdobywać potrzebne informacje szpiegowskie oraz demaskować własnych ludzi, którzy w rzeczywistości pracują dla przeciwnika, jak również, żeby dezinformować przeciwnika, co utrudnia mu pracę kontrywiadu. Ta potrójna misja V-agenta kończy się najczęściej bardzo szybko, bowiem sprawnie działająca służba bezpieczeństwa krajów socjalistycznych szybko agenta unieszkodliwia.

Jak już wspomniano, NRD jest szczególnie narażona na szpiegowsko-dywersyjną działalność ludzi Gehlena. Ale nie tylko. Usiłują oni również tworzyć sieci szpiegowskie i w innych krajach socjalistycznych, w tym również w Związku Radzieckim. Zmarły niedawno Allen Dulles, amerykański ekspert do spraw sabotażu, szpiegostwa i dywersji, zawsze wyrażał się o Gehlenie w słowach pełnych podziwu i uznania, nazywając go „człowiekiem niezastąpionym”. Oto dlaczego krótka informacja o przejściu „doktora” w stan spoczynku wywołała tyle niepokoja w pewnych kołach amerykańskich.

Już od początku wojskowej kariery Reinharda Gehlena wiadomo było, iż nie ma człowieka bardziej odpowiedniego do służby szpiegowskiej niż on. Wkrótce po zakończeniu I wojny światowej, Gehlen wstępuje do Reichswehry, sił zbrojnych ówczesnej młodej Republiki Weimarskiej. Błyskawicznie awansuje od stopnia porucznika kawalerji do majora i zostaje włączony do tzw. departamentu administracyjno-gospodarczego armii, który jest de facto zakonspirowanym sztabem generalnym Reichswehry. Niebawem, wbrew traktatowi wersalskiemu, weimarska Reichswehra przekształca się w hitlerowski Wehrmacht, a Gehlen wspina się na szczyty kariery szpiegowskiej w późniejszym aparacie władzy hitlerowskiej. Ale nie uprzedzamy faktów...

ZACZAŁ NA WSCHODZIE

W momencie zagarnięcia władzy przez Hitlera w 1933 r., Gehlen znajdował się już w liczbie 50 wyższych oficerów, z którymi się liczone. Po napaści hitlerowskiej na Polskę, we wrześniu 1939 roku, Gehlen zostaje skierowany do pracy na terenie okupowanej Polski. Wkrótce jednak wraca do Berlina, gdzie Hitler przydziela go do sztabu swego ulubieńca, gen. Haldera. Z kolei, po napaści Hitlera na Związek Radziecki, Gehlen znajduje się u boku dowódcy armii wschodniej, w rejonie Białegostoku i Mińska. Tutaj, na spustoszonej przez hitlerowskie wojska ziemi radzieckiej, rozpoczyna się błyskawiczna kariera Gehlena.

W trakcie operacji wojennych dowódcy poszczególnych armii hitlerowskich śladą nagłące meldunki do dowództwa naczelne go, w których skarżył się na złą pracę Abwehry (hitlerowska służba wywiadowcza), którą kieruje gen. Canaris. Jest on otwarcie atakowany za nieudolność i źle przygotowanie zarówno służby wywiadowczej, jak i kontrywiadu do nowej formy wojny, która — jak dowodzą generalowie — polega również na „demoralizowaniu wroga środkami psychologicznymi”. Gehlen korzysta z okazji i przedkłada naczelnemu dowództwu Wehrmachtu projekt powołania specjalnej służby szpiegowsko-dywersyjnej pod nazwą: „Obce armie na Wschodzie”. Jej działalność „polegałaby na zdobywaniu, bez względu na cenę, wszelkich możliwych informacji o wrogu, przenikaniu do szeregów wroga, staniu tam zamepu i nastrojów paniki, organizowaniu wszelkich form dywersji politycznej, gospodarczej i psychologicznej”.

Projekt przyjęło. Gehlen, przy popar-

ciu sztabu i przywódców SS — Himmlera i Schellenberga, obejmuje sietcią swego aparatu szpiegowsko-dywersyjnego cały obszar działań wojennych, nieustannie go ulepsza i udoskonala. Zdobywane tą drogą obfite informacje coraz częściej przedkłada Hitlerowi. Gehlen przesłuchuje jeńców radzieckich, kieruje szpiegów i specjalnie przeszkolonych dywersantów na tyły armii radzieckich, na okupowanych terenach organizuje siatki agentów wywiadowczych, które informują go o sytuacji w Związku Radzieckim.

W zachodnich Niemczech mówi się dzisiaj, że Gehlen miał poważne trudności we współpracy z dowództwem naczelnym Wehrmachtu, ponieważ był przeciwnikiem reżimu hitlerowskiego. Jednak fakty przeczą tej wersji. Oto 5 stycznia 1945 roku, to jest w okresie bliskiej agonii III Rzeszy, głównodowodzący oddziałami hitlerowskich wojsk pancernych, gen. Guderian, opierał swe operacje wojenne na szczegółowych doniesieniach Gehlena, które dotyczyły stanu liczebnego radzieckich sił zbrojnych, ich struktury organizacyjnej, liczby oficerów, ekonomicznej sytuacji kraju, potencjału przemysłowego, zasobów ludzkich Związku Radzieckiego i in. Były to informacje i raporty, które na podstawie doniesień tysięcy swych agentów opracowywał osobiście Gehlen.

Gehlen wiedział najlepiej, że zbliża się nieuchronna klęska hitlerowskich Niemiec. Mając na uwadze niepewną przyszłość, kazał przepisać na maszynie, w trzech egzemplarzach, wszystkie tajne dokumenty, będące w posiadaniu biura wywiadu, po czym — odpowiednio zabezpieczone — ukrył w ziemi w trzech różnych miejscach Niemiec. Wiedział, że te dokumenty mogą mu się kiedyś przydać. I nie omylił się.

DOBRY KUPIEC...

Gdy wojska amerykańskie, zdążając w kierunku Pragi, wkroczyły do Bawarii, Gehlen ukrył się w Alpach Bawarskich.

Po upływie kilku tygodni, uznając, że dać, że nadszedł odpowiedni moment, „przedstawił się” Amerykanom i zaofiarował im swój „towar”. Amerykanie początkowo ustosunkowali się sceptycznie do zawołanych propozycji Gehlena i postanowili go internować. Ale nieco później zainteresował się nim amerykański generał służby wywiadowczej i w Wiesbaden bardzo długo przesłuchiwał Gehlena. Wynik tego przesłuchania okazał się rewelacyjny. Materiał, który „doktor” wystawił na sprzedaż, był dla amerykańskiej służby wywiadowczej, a w szczególności dla Allena Dullesa i jego CIA, przebogaty skarbnicą szpiegowskich informacji o Związku Radzieckim. Teraz Amerykanie nie wahali się ani chwili: w lipcu 1945 roku, czyli w dwa miesiące po zakończeniu wojny, załadowali Gehlena i jego „skarby” oraz niektórych współpracowników „doktora” do specjalnego samolotu wojskowego i odtransportowali do Stanów. Już na miejscu, uważnie studiując dostarczone dokumenty stwierdzili, iż Gehlen orientuje się w problematyce Związku Radzieckiego tysiąc razy lepiej od nich. W konsekwencji, już w roku 1945 powierzył Gehlenowi i jego współpracownikom utworzenie — pod kontrolą amerykańską — specjalnej służby wywiadowczej, której celem było „zbieranie i wszechstronne opracowywanie materiałów dotyczących całokształtu spraw radzieckich”. Siedzibą tej szpiegowskiej organizacji na wielką skalę, skierowanej przede wszystkim przeciwko Związkowi Radzieckiemu, był początkowo Frankfurt nad Menem, a finansował ją amerykański wywiad. Ostrożny Gehlen postawił jednak Amerykanom następujące warunki: organizacja będzie pracować pod jego bezpośrednim kierownictwem i będzie wyłącznie niemiecka; żaden z jego ludzi nie będzie wykonywał zadań, które „byłyby sprzeczne z interesami Niemiec”; dopóki nie powstanie rząd niemiecki, on, Gehlen, będzie się uważał za „straznika interesów Niemiec”.

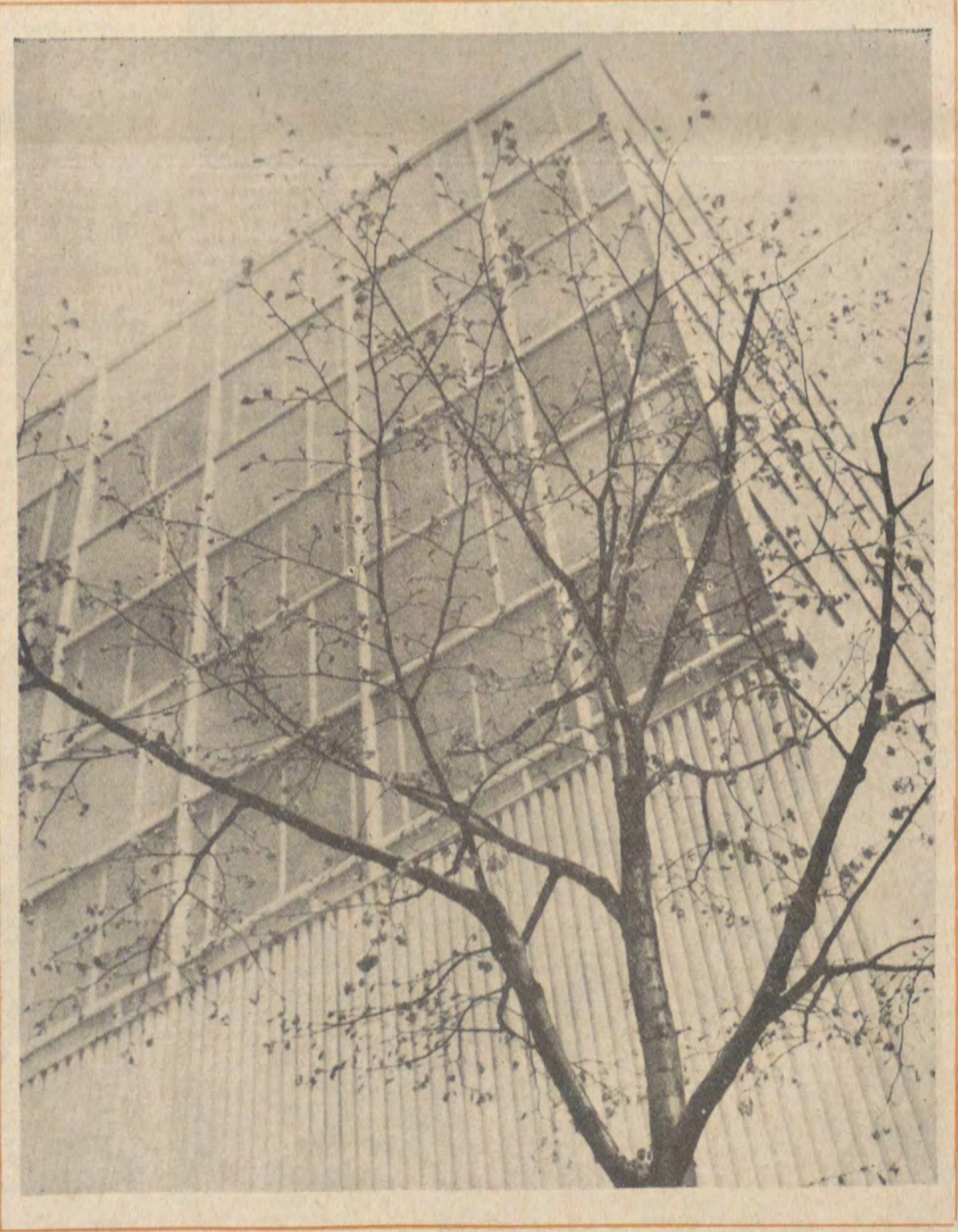
Amerykanie, pewni swego, mając zresztą już wówczas zamiar stworzenia oddzielnego państwa niemieckiego, przyjęli te warunki. Gehlen rozbudował tę organizację do rozmiarów wielkiego aparatu

szpiegowsko-dywersyjnego, skierowanego swym ostrzem przeciwko krajom socjalistycznym. Z biegiem lat, Amerykanie zwiększali kuratelę nad działalnością Gehlena, aż stworzony przez niego aparat stał się na koniec zachodnioniemiecko-amerykańską organizacją szpiegowsko-dywersyjną w Europie.

TYLKO EFEKTYWNE

Amerykanie odgrywają w niej rolę dominującą. Oni ją w większości finansują i zaopatrują w urządzenia techniczne, ponieważ oni mają też „własne interesy” do załatwienia w różnych krajach. Ale wspomniana organizacja ma w swym łonie tzw. „służbę specjalną”, działającą niezależnie od amerykańskich służb wywiadowczych, która „ma na uwadze interesy wyłącznie niemieckie”. Jakże to są interesy, wiemy dobrze. Wspomniana „służba specjalna” kieruje sekcją tak zwanego „głębokiego wywiadu”. Zatrudnia ona liczną grupę naukowców różnych specjalności, w tym również ekonomistów i socjologów. Oni to studiują informacje szpiegowskie z krajów socjalistycznych i przygotowują naukowe materiały dotyczące tych krajów, opracowane wyłącznie dla użytku V-agentów. Niemal wszyscy specjaliści, zatrudnieni w sekcji „głębokiego wywiadu” pracowali ongi w hitlerowskim aparacie wywiadowczym.

Amerykańscy eksperci twierdzą, iż organizacja Gehlena jest dziś najbardziej efektywna w Europie. Nie wspominają jednak że V-agenci Gehlena są również efektywnie wyłapywani w krajach naszego obozu. (Oprac. W. St.)



Cesarские cięcie — konieczne!

Nie jest dla nikogo rzeczą miłą, gdy sędziwego jubilat spotyka nieszczęście. Dlatego też, gdy w 60 roku istnienia ŁKS piłkarze tego wielce zasłużonego klubu spadli z I ligi — wielu zwoleńników piłkarstwa i wierznych kibiców porównywało ten fakt z jakąś apokaliptyczną klęską. Nie mogli go godzić się z tym, że drugie co do wielkości miasto w kraju co najmniej na rok — a już dziś wiadomo, że minimum na dwa lata — będzie pozbawione meczów ekstraklasy państwowej. W ciągu 25 lat ŁKS doznaje drugi raz gorzkiej degradacji swych piłkarzy do klasy niższej, mimo że nie tak dawno jeszcze, bo w 1958 roku, cała Polska podchwyciła słynny tytuł „Przeglądu Sportowego”: „Panowie, kapelusze z głów — tak grają rycerze wiosny”. W ten sposób fetowano ówczesnego mistrza Polski. Ale wówczas zespół piłkarski szanownego jubilata gromił Górnik Zabrze na jego własnym boisku i tam właśnie Stanisław Baran potrafił w jednym meczu strzelić bodaj aż 4 bramki, doprowadzając śląskich kibiców do rozpaczki.

Zachodzi jednak konieczność zadania, a następnie wydedukowania odpowiedzi na pytanie, czy owo „apokaliptyczne” wydarzenie ubiegłorocznej degradacji było zaskoczeniem? Czy każdy znający się choć trochę na piłce nożnej może mówić o przypadku lub braku szczęścia? Czy wreszcie widząc na co się zanosi, można było w porę przedsięwziąć kroki, które zażegnałyby katastrofę?

Nie był to, moim zdaniem, grom z jasnego nieba, jakiś nagły szok. Gromadziły się chmury, od dawna zbierała się na burzę. Przewlekłą chorobą — trzeba było zacząć leczyć już cztery lata temu. Wtedy to właśnie piłkarze ŁKS pripraviali o parokrotnym nerwowości swych kibiców, ratując się od spadku dosłownie w ostatnich meczach kolejnych sezonów. Oglądaliśmy wówczas ciekawie ponie-

kąd widowiska. Przyjeżdżały do Łodzi dużo lepsze od ŁKS drużyny i przegrywały mecze, bo napastnicy Górnik Zabrze dziwnie akurat w tym dniu pudłowali, a piłkarze warszawskiej Legii strzelali samobójcze gole. Zespołom tym nie zależało wtedy na rezultatach, więc przegrywały, gdyż trzeba było ratować zasłużony klub, a Łodzi nie pozbawiać widowisk I-ligowych. Bodaj cztery razy udawała się ta sztuka, aż nadszedł rok jubileuszowy 1968 i na ostatni, znowu decydujący dla łodzian mecz przyjechała do naszego miasta Pogon ze Szczecina. Ogi ŁKS, wygrywając z tą drużyną, pograżył ją w odmetach II ligi. Teraz Pogon mimo, że nie miała żadnego interesu w wygrywaniu spotkania, gdyż nic absolutnie jej to nie dawało, nie chciała nawet zremisować! A właśnie remis całkowicie urządził ŁKS. No i stało się. Porażka 0:1 przesądziła o wszystkim, bo równocześnie zagrożona spadkiem krakowska Wisła „nieoczekiwanie” wygrała na Śląsku z Szombierkami, a pretendująca do czołowej lokaty w tabeli Legia zostawiła również „nieoczekiwanie” punkty u rzeszowskiej Stali. Wszystkie te nieoczekiwania spryskiwały się jakimś dziwnym trafem przeciw łodzianom.

Znam zapalonego gracza w totalizatorze piłkarskiego. Pokazywał mi wówczas jak typował: zwycięstwo Stali, zwycięstwo Wisły i wygrana ŁKS.

— Jak pan może stawiać takie horoskopy — zapytałem — przecież to nieprawdopodobne rezultaty?

— I pan takie rzeczy mówi — replikował — przecież od lat chodzi pan na mecze. To jest ostatnia kolejka ligowa, tu trzeba patrzeć nie na umiejętności poszczególnych drużyn, lecz na układ tabeli.

Pomylił się mój totkowiec tylko w wypadku ŁKS, choć rozumował prawidłowo. Aha, zapomniałem dodać jego ostatnie zdanie: „W tej sytuacji musi „polecić” Wi-

śla. Na to nie ma rady”. W tydzień potem spotkałem go ze zwieszoną głową.

— Przeliczyłem się — powiedział — ale że i w Łodzi wiele osób nie umie dobrze kalkulować, to fakt bezsporny! Dyplomacja w Rzeszowie i Bytomiu zdała egzamin, dyplomaci łódzcy — zawiedli!

Owe decydujące mecze listopadowe grane były w tak nerwowej atmosferze, w takim napięciu, że trudno było czasami mieć pretensje do zawodników, iż wiele rzeczy im nie wychodzi. Ile jednak razy, zmeżony i za bląkany zapadaniem zromoku (aternik, może uniknął upadku na trudnej ścieżce? Po co jednak tak przedłużył swoją marszrutę, że w

du na brak kwalifikacji, po dolać ciężącym na nich obowiązkom. Jest bowiem „nie-wielka” różnica — prowadzić mały klubik fabryczny o dwóch czy trzech sekcjach w B i C klasie, a rządzić dużym klubem sportowym, który ma kilkanaście drużyn w I i II ligach różnych dyscyplin sportu i zatrudnia kilku dziesięciu trenerów! To poważne przedsięwzięcie okazało się ciężarem, którego nie byli w stanie sami uciągnąć, zaś rad doświadczonych i wytrwałych działaczy słuchać nie chcieli. Po prostu odsunęli ich na ubocze. Skutki tej fatalnej polityki personalnej nie dały na siebie długo czekać.

Skoro mowa o zagadnieniach personalnych, wskaż-

ły zasilić drużynę, a z których trzeba było rychło rezygnować. Brano też piłkarzy dobrze grających w klubach łódzkich i województwa. Okazało się, że tam byli gwiazdami, natomiast w meczach I-ligowych porządnie kopnąć piłki nie mogli. Jedynym wyjątkiem pod tym względem jest Sadek, sprowadzony do Łodzi z Radomska po niemalych zresztą kłopotach.

Działacze sekcji piłkarskiej ŁKS i niektórzy członkowie zarządu skwapliwie podejmując decyzje w sprawach piłkarskich, nie potrafili w pewnym momencie, przed dwoma laty, zdecydować się na radykalny krok odnowienia zespołu. Tak zrobił na Śląsku Ruch i

ko bramki Legii. Stąd powstał mit o jego zdolnościach strzeleckich. Wreszcie oddano go do Startu, który po dwóch meczach zrezygnował z usług tego mitycznego „bombardiera”.

Oddzielny rozdział stanowią trenerzy i drużyny. Zmieniano ich jak rękawiczki, a gdy już nie było chętnych, sięgano po pomoc zasłużonego Władysława Króla, który nigdy nie odmawiał pomocy swemu klubowi, choć wiedział, że służy do zatykania dziur. Obecnie ŁKS trenuje Leszek Jezierski — do niedawna piłkarz tego zespołu. Jest trenerem piłkarskim II klasy i, moim zdaniem, nie posiada kwalifikacji na takie stanowisko w ligowej drużynie.

Zarząd ŁKS, pisząc do władz o zamiarach swej działalności na najbliższą przyszłość, takie przeprowadził obliczenia przed nadchodzącą rundą wiosenną: jeżeli ŁKS wygra wszystkie mecze u siebie (co jest rzeczą możliwą) i zdobędzie 4 punkty na wyjazdach, to istnieje realne szanse awansu do I ligi jeszcze w tym sezonie. Rachunek prosty i nieskomplikowany. Zapomniano tylko o jednym drobiazgu. Nie wzięto pod uwagę, że najgroźniejsi rywale też będą grać i mogą mecze wygrać, co jest rzeczą bardzo prawdopodobną. Optimizm jest konieczny dla działacza sportowego. Skąd jednak się on wywodzi? Przecież drużyna bez wybitnego wzmocnienia grać będzie podobnie jak jesienią. A wtedy nie wygrała ani jednego meczu na wyjeździe, raz tylko remisując z Garbarnią 3:3. W kilku meczach na obcych boiskach ŁKS nie potrafił strzelić ani jednej bramki, gdyż sam Sadek (zawsze dobrze obstawiony) wiele zdałać nie może. Na dobrą sprawę zawodnik ten w tej chwili nie ma z kim grać w ŁKS, gdyż jego partnerzy ustępują mu co najmniej o klasę. I temu też nudzi się gra w takim towarzystwie, więc woli rzerwować swe siły na mecze międzypaństwowe, co też często i ostentacyjnie czyni.

Widocznie są prognozy. Potwierdzają je wieści z obozu w Kudowie, gdzie ŁKS przegrał z Włóknierzem Łódź 0:1. Trzeba więc zdecydować się na radykalne cięcie: odmłodzenie zespołu piłkarzami ambitnymi, silnymi fizycznie, którzy po kilkudziesięciu meczach zmagania w II lidzie nabrają szlif i rutynę. Ale na podjęcie takiej decyzji trzeba odwagi i konsekwencji. Jeżeli ludzie tacy są w zmienionym dość znacznie zarządzie ŁKS, czekamy na ich inwencję.



Fot. Czarnogórski

górach zastała go noc? I tu właśnie pada odpowiedź na pierwsze pytanie. Degradacja ŁKS nie była zaskoczeniem, gdyż wisiła nad tą drużyną od lat i po prostu klub tak grający nie mógł jej uniknąć. To nie przypadek czy brak szczęścia, zdecydowały, lecz rzucający się w oczy spadek poziomu gry całego zespołu. Co gorza nie był to chwilowy regres, a głęboki kryzys.

Do tego stanu rzeczy dopuścili ludzie zasiadający w ówczesnym zarządzie ŁKS, którzy mimo szczyrych chęci nie byli w stanie, ze wzglę-

my, że przy montowaniu ze społu piłkarskiego nie potrafił ostrzec się rażących błędów. W sekcji piłkarskiej ŁKS podejmowali decyzje angażowania piłkarzy z tzw. importu ludzie, którzy nie mieli pojęcia o prawidłowej ocenie przydatności poszczególnych zawodników. Rezultat? Sprowadzono do ŁKS za drogie pieniądze i dawano mieszkania miernotom piłkarzom z trzecich lig Śląska Dolnego i Górnego i Warszawy itd. Słowiński, Gatuz, Czop, Kulawik, Kosider, Studnierz, Maślanka i inni — oto „asy atutowe” które mia-

przez pół rundy zajmował miejsce w końcówce tabeli, ale w ubiegłym roku sięgnął po tytuł mistrza Polski. W ŁKS latano dziury młodymi zawodnikami, a po meczu czy dwóch, znowu ich zmieniano i próbowano świeżych. Starsi, słabo grający z roku na rok zawodnicy, mieli zapewnione miejsce w zespole. Pamiętamy ileż to spotkań grał Wieseski, który na rok strzelał jedną lub dwie bramki. Czekało, a może strzeli więcej, on wahał się po boisku i nie strzelał. Raz chciał mocno scentrować i trafił przypadkiem w okien-

ADAM NONAS

PRASA TAMTEGO DWUDZIESTOLECIA

„MOC”

Tę krótką i wymowną nazwę nośne pismo, którego trwałość była wręcz zaprzeczeniem tytułu. Otóż pierwszy numer „Mocy” ukazał się w listopadzie 1926 r., zaś 2 i ostatni w lipcu 1928 r. W założeniu pismo miało być miesięcznikiem poświęconym „nauce, sztuce, literaturze i polityce”, a jako cel stawiało sobie „pracę nad podnieszeniem umysłowej i etycznej kultury społeczeństwa naszego, wyrażaniem bardziej intensywnego życia duchowego, duchowej wartości jednostek”.

Numer 1 otwiera słowo wstępne, w którym przytoczona została nazwa naszego wieszcza J. Słowackiego: Krzyżczeli: „Polska, Polska”, lecz jednego razu Chcąc krzyżcząć zapomnieć wyrazu. Pewni jednak, że Bóg im prawo krzyku przyni, Szli i krzyżczeli jeszcze „Ojczyzna, Ojczyzna” — Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka —

I przeraził je wszystkie, zapytawszy „Jaka?” Redakcja stwierdza, że słowa te, wypowiedziane przez poetę z bólem i sarkazmem, są prorocze i na czasie (był to przecież rok przed wrotem majowego). Jak się okazuje nadal pozostają aktualne. W piśmie przeważają artykuły o treści etycznej utrzymane w duchu chrześcijańskim. Znajdziemy tu fragment pism J. W. Dawida, artykuły o rodzajach temperamentów, czy rozprawę „O zjawiskach dziedzielnicy w sferze cielesnej i duchowej”.

Najwartościowszą pozycją zamieszczoną na łamach „Mocy” jest na szeroką skalę zakrojona rozprawa Cezarego Jellenty zatytułowana „Z dramatów moc budzących Stanisława Wyspiańskiego”, którą warto przypomnieć ze względu na obecny rok poświęcony temu twórcy. Autor stwierdza, że najwybitniejsze talenty, „ukochane przez bogów” umierają zwykle młodo. Tak było i z genialnym auto-

rem „Wesela”, znakomitym dramaturgiem i nie mniej dobrą małą rzem. Ostatnie lata jego życia charakteryzowały się gorączką twórczą, powstało wówczas wiele dzieł bardzo różniących się od siebie.

Jellenta dochodzi do wniosku, że Wyspiańskiego nie można sklasyfikować jednolicie: „Ze wszystkich twórców polskich najtrudniej może Wyspiańskiego wtłoczyć w jeden profil, w jeden charakter. Choroba ciała i niecierpliwość ocalenia dla świata i odczynny nowych myśli i nowych form, czyniła go niewątpliwie zawieszonym nad nastrojów chwili i od wewnętrznego samopoczucia. Musiał ono być do pełnej mocy, to znów zamyślał o życiu pozagrobowym. Nie wątpił do tego go przycyniał się ogólny w literaturze nastrojów symboliczny”. I stąd u poety skłonność do zapelniania swych dramatów duchami i zjawami. Nie było dla niego Hamletowskiej kwestii: „Być albo nie być”, dawno już została rozstrzygnięta na nie, gdyż w tych latach Wyspiański znajdował się już na granicy życia i śmierci.

W dalszym ciągu artykułu Jellenta analizuje poszczególne dramata autora „Wesela”, dochodząc do wniosku, iż bardzo często występują w nich takie pojęcia jak: siła, wielkość, tętnąca wielokroć powtarzana. Pojęcie wielkości jest dla Wyspiańskiego jednoznaczne z siłą i mocą, wznosi on „do góry sztandar mocy”. Stąd u Jellenty tytuł artykułu, stąd też i tytuł piśmie „Moc”. Tak więc mamy nie-

znany szerzej przyczynek do sprawy — Wyspiański a Łódź, gdyż można go uznać za duchowego patrona pisma.

Z Jellentą spotykamy się raz jeszcze na łamach „Mocy”. W przeglądzie prasy, Redakcja przytacza tu fragment jego artykułu z miesięcznika „Sygnal Białego Pawia”, którego był redaktorem. W artykule noszącym tytuł „Waluchy Atylli” narzeka na słabość Ministerstwa Oświaty i Wyznań Religijnych (okazuje się, że narzekanie na tę instytucję to nie nasz dzisiejszy wynalazek), a jeden fragment z tego wystąpienia, który ponieśli przytoczę, mógłby śmiało służyć za powód do procesu o zniesławienie, czy wręcz obrazę władzy: „Ostatnim obrazem tej smutnej rewii było mianowanie Ministrem O i WR Stanisława Grabskiego (mną będą straszę dziesiątów mów wojewoda z „Mazepą”), którego ten Walach Atylli przejdzie tam trawa nie poronie”.

„Moc” wystąpiła także z inicjatywą zorganizowania dyskusji na temat „Co myśli i czego chce na we pokolenie”. W artykule zachęcającym do dyskusji stwierdzono, że ówczesne pokolenie młodych, poza nielicznymi grupkami, jest dzwinnie powściągliwe i jakby lekliwe. Inicjatorzy zastanawiają się, czy plynie to z tego, że młodzi nie mają nic do powiedzenia, czy też odwrotnie — mają tak dużo, że brak im formy do wyrażenia tego. To pokolenie wyraźnie różni się od swych ojców, jego ideały, dążenia oraz zapatrywania są od-

mienne od poprzedniego, które jasno i otwarcie wypowiadało się na łamach prasy. „Moc” zastanawia się jak je pobudzić do dyskusji, lecząc się jednak z tym że „aby odpowiedź dana być mogła w jednym lub drugim przemówieniu nie należy oczekiwać, a stopniowo raczej będzie się ono wyłaniać w literaturze, sztuce i życiu”. Jednym z zasadniczych zagadnień dyskusji, na które pismo szczególnie chciało otrzymać odpowiedzi są „poglądy na literaturę: jakimi kierunkom ze współczesnych oddaje się pierwszeństwo ze względu na treść i formę, którego z pisarzy stawia się najwyżej, do którego piszący sam czuje się najbliższym z pisarzy dawnych i współczesnych, obcych i polskich?”. Artykuł kończy się zapowiedzią, że otrzymane głosy w dyskusji redakcja będzie systematycznie zamieszczać, a w owej chwili miała już przyrzucone artykuły od kilku nał wybitniejszych przedstawicieli młodego pokolenia. Niestety nie doszło do realizacji tych interesujących zamierzeń, pozostały w sferze ambitnych projektów.

Z zagadnień literackich na łamach „Mocy” znalazły się jeszcze: artykuł pt. „Z przeszłości twórczej”, ubogi zarówno pod względem objętościowym jak i treścią, poświęcony mniej nawet niż szkieletowi rzutowi oka na Oświecenie a także wiersz Mickiewicza „Pieśń gminna” oraz bajki „Łabędź, szczupak i rak” S. Czajkowskiego i „Osiol i słowik” J. Chęcińskiego. Oprócz tego warto

wrócić jeszcze uwagę na wypowiedź redakcji pt. „Światła i cienie”, dotyczącą wystąpienia Nestora pisarzy polskich Aleksandra Świętochowskiego, jako reakcji na skreślenie przez inspektorat szkolny w Warszawie 114 książek, z listy lektury dozwolonej młodzieży szkolnej. Na indeksie znalazły się między innymi takie pozycje jak: „Nowele” Dickensa, „Światek dziejący” Or-Ola, „Raclawice” Przyborskiego, „O Janku co psom szły buty” Słowackiego, czy wreszcie Świętochowskiego „Człogodni Polacy”. W związku z tym stwierdza ona: „Mogłem przypuścić, że znajdują się na nim wszystkie moje pisma naukowe i artystyczne, z wyjątkiem jednego „Człogodni Polacy”. Właśnie to zostało zakazane. Jak świat długi i szeroki podobny index librorum prohibitorum nigdzie nie mógł się narodzić”.

Redakcja dodaje, że zakazane zostały również „Bajki ilustrowane” wydawane przez S. Czajkowskiego, redaktora „Mocy”, posiadającego własną drukarnię. Na zakończenie redakcja wyraża przypuszczenie, że gdyby Mickiewicz zszedł z cokołu na Krakowski Przedmieście i osobiście interweniował w wydziale programowym Ministerstwa O i WR oraz w inspektoracie szkolnym miasta Warszawy, może by coś wskórał u pogromców książki polskiej, ale i to wątpliwe. „Moc” jest więc jak widać kolejną łódzką efemerydą, pozostającą pod młodopolskim wpływem, jeszcze jedną próbą na drodze stworzenia pisma literackiego.

Teatr jaki będzie

Od listopada ub. r. do maja br. trwać będzie IV Festiwal Kultury Studentów zorganizowany w 25-lecie Polski Ludowej. Okres Festiwalu jest okresem podsumowania dorobku, konfrontacji twórczych możliwości środowiska i nie mniej ważnych dyskusji o kulturze studenckiej, dyskusji które mają wytyczyć drogi dalszego rozwoju ruchu.

Właśnie w dyskusjach Festiwalowych specjalne miejsce zajmuje studencki teatr. Teatr, który nie jest taki jakiegoś dnia, nie jest taki jakiegoś dnia, nie jest taki jakiegoś dnia.

Mamy dziś w Polsce około stu scen studenckich. Powiedzmy sobie szczerze, ile z nich się liczy, co znaczą. Może piętnaście, może tylko dziesięć. A nawet z tej małej grupki kilka przeciwieństw. Spółotwórcy żyje tylko siłą tradycji, laureatami przeszłości, inne zaś eksploatują ludzi, którzy w teatrze studenckim co prawda zaczęli, lecz już od dobrych kilku lat związani są profesjonalnie ze sceną zawodową i teatrzyk wykorzystują jako jeszcze jedno pole dla swoich własnych doświadczeń twórczych.

Wytworzyła się niepokojąca sytuacja. Otóż każdy, kto ma coś do powiedzenia w teatrze, tworzy lub stara się stworzyć własny zespół, w którym bardzo często nie znajduje dla siebie partnerów. Dlatego też Rada Artystyczna-Programowa Teatrów Studenckich i poszczególne Rady Okręgowe wyścięły z inicjatywą integracji ruchu teatralnego. Zgrupowanie ludzi ciekawych, twórczych w dysponującym lepszym materiałem aktorskim, większym doświadczeniem i lepszą bazą techniczną jednym zespołem zamiast w kilku konkurencyjnych, powinno stworzyć warunki dla ukazania pełni możliwości teatrów. Może wte-

dy teatr studencki stałby się taki jak powiem byc. A wezmy do zgranej opinii powiem byc teatrem zadającym głos w imieniu środowiska studenckiego, prezentującym właściwie mu wiązanie świata, powinien pełnym głosem mówić o współczesności, o problemach naszych dni, powinien być teatrem zaangażowanym, teatrem politycznym mówiącym wprost bez niedowiedzenia i auzji, teatrem odważnym. Taki powinien być, ale nie jest i stąd zarzut, że współczesny teatr studencki nie jest nawet taki jak był, przynajmniej w swoim „okresie heroicznym”, w latach 1954—56, a może ściślej 54—56.

Oczywiście teatr tych lat spełniał prawie wszystkie postawione wyżej wymagania, ale nie zapominajmy, że prezentował dość specyficzną model teatru zaangażowanego. Był przecież, jak to trafiło zauważyć A. Miklaszewski, „teatrem zamiast”, zastępującym informację, obiektywny komentarz, rzeczową wymianę poglądów, a taki model wszyscy uznamy dziś za przestarzały, nie posiadający racji bytu. Pozostaje więc poszukiwanie własnej formuły. Poszukiwanie niełatwe choćby dlatego, iż za biorąc głos w imieniu środowiska studenckiego należy pamiętać o tym, aby nie mówić w imieniu tylko jego części, w imieniu grupy, tym bardziej, że poglądy społeczne studenckiej nie są zbyt jednolite, a nawet sprzeczne. Tutaj rodzi się pytanie, czy ta forma społecznego i politycznego działania jaką był teatr studencki nie zeszła z sił, czy nie za stała się wywołana potrzebą odpowiedzialności, która niosła studentów w klubach i samorządach uczelnianych, w organizacjach politycznych?

Pozostaliśmy jednak przy twierdzeniu, że ciągle istnieje teatr. Powiedzmy, że teatr studencki powinien mówić wprost. Stąd najważniejsza wydaje się sprawa repertuaru zaangażowanego, współczesnego, niebanalnego. Takiego repertuaru nie ma i nie było od dawna. Z nadzieją spogląda się więc w kierunku najmłodszych piszących, zrzeszonych w Kołach Młodych ZLP, w klubach i grupach działających na uczelniach. Forma dramatyczna jest zapewne najtrudniejszą formą wypowiedzi pisarskiej, wymaga bezwzględnie kontaktu z teatrem. Jest rzeczą jasną i zrozumiałą, iż debiut na scenie teatru zawodowego nie jest i nie może być łatwy. Powierzenie więc tekstu teatrowi studenckiemu dawałoby korzyść obopólną, pozwoliłoby bowiem mło-

dym twórcom doskonalić warsztat, bezpośrednie uczestnictwo w realizacji spektaklu umożliwiłoby poznanie specyficznych praw sceny. Akcentując tutaj wagę współczesnego, własnego repertuaru chciałbym równocześnie podkreślić prawo scen studenckich do interpretacji klasyki. Uważam, że obowiązki wobec klasyki ma każdy teatr. Nie każdy o nich pamięta. Teatr studencki wypełnia te obowiązki często i za teatr zawodowy. To prawda, iż czasami popada w sztamę, bezbarwni stracyjność lub też silnie się na pseudooryginalność, częściowo jednak pokazuje dawnych i nie tak dawnych mistrzów, jako zaskakująco aktualnych. Tej drogi „intelektualnego szperactwa”, która bynajmniej nie powinna być drogą główną, teatr studencki nie może, bez wielkiej dla siebie szkody, porzucić.

Kulminacyjnym momentem IV Festiwalu kultury będzie spotkanie w Krakowie w dniach od 8 do 10 maja. Zostanie tam rozstrzygnięty m. in. Konkurs „Melpomena 69”, którego celem jest, jak powiadają organizatorzy, „ukazanie zaangażowanej politycznie i społecznie sceny studenckiej, jej ambicji ideowych i artystycznych oraz najwartościowszych poszukiwań repertuarowych”. Miejmy nadzieję, iż Komisja Artystyczna zakwalifikuje do udziału w Konkursie ogłoszone do eliminacji spektakle łódzkie. Ewentualny udział naszych teatrów w Festiwalu Krakowskim zostanie jednak poprzedzony imprezami lokalnymi. Łódzka Rada Okręgowa ZSP, która niedawno przywróciła do istnienia swoją Komisję Artystyczną, dla ułatwienia wymiany doświadczeń ogłosiła marzec Miesiącem Otwartych Teatrów Studenckich. Zespoły wystąpią w tym miesiącu z premierami, będą na premiej w „konkurencji”, wraz z Komisją Artystyczną dyskutować nad spektaklami. W kwietniu odbędzie się Przegląd Łódzkiego Teatrów Studenckich połączony z przeglądem Teatrów Amatorskich i Robotniczych, a na jego zakończenie podsumowujące doświadczenia seminarium. Tę artystyczną konfrontację z zespołami młodzieży robotniczej, notującymi na swym koncie niebagałeczne osiągnięcia, uważamy za niezmiernie dla nas cenną i potrzebną.

Trudno jest oceniać plany łódzkiego teatrów, ocena wykoników może być bowiem krańcowo odmienna. Sądzę jednak, że z ujawnionych

zamierzeń na uwagę szczególnie zasługują tak długo i z utęsknieniem oczekiwane własne teksty: „Zabawa w Twisście”, którą pokazuje „Pstrąg” i „Następca”, które go zaprezentuje „STU”. Zamiarem b. ambitnym wydaje się przygotowywana przez „Kwant” inscenizacja „Rzeczy listopadowej” E. Brylla, utworu wprowadzonego na scenę przez K. Skuszanę, a później pokazywanego w teatrach Łodzi, Gdańska i Krakowa. „Kwant” jak widać nie obawia się konkurencji nawet ze strony scen o ustalonej renomie.

Warto również zwrócić uwagę na przygotowywaną przez „STU” prapremię „Romansu siedmiu braci spiących w Czinach” T. Micinskiego. Micinski arcyzdanie ostatnio temat prac teatrológicznych i polonistycznych, nie ma szczęścia do teatrów, unikają go zawzięcie. „STU” sięgnął po utwór zdecydowanie różniący się od tych nieuczynych rzeczy Micinskiego, które ujrzały scenę i ma szansę pokazania nieznanego jeszcze autorowi „Nietotej”, pokazania pisarza operującego sprawnie parodią i groteską, groteską presurrealistyczną i prewitkowską. Oby tylko premierę nie zawiozły naszych oczekiwania.

Wspominałem na początku, że dni Festiwalu są okresem wielkiej dyskusji. Byłoby rzeczą niecierpiącą potrzebą, żeby dyskusja o teatrze studenckim nie zakończyła się wraz z Festiwalem. Jej właśnie sprawie pragnę służyć klub dyskusyjny, na razie jeszcze nie nazwany, który organizuje je teatr „STU” przy wsparciu udziału Studenckiego Koła Naukowego Polonistów UL. Na klubowe „spotkania przy świecach” (przewadzili je będzie nierzadko podpisany — Przewodniczący Zarządu Koła Polonistów i kierownik literacki „STU-u”) pragniemy zapraszać zainteresowanych teatrem naukowców, przedstawicieli łódzkiego środowiska twórczego, ludzi teatru, dziennikarzy, krytyków, działaczy ruchu studenckiego. Pragniemy mówić o teatrze studenckim, ale akcentować nie jak się to robi zaawansowanym słowem „studencki” ale słowem „teatr”. Chcielibyśmy bowiem widzieć teatr studencki na tle całej współczesności teatralnej i przy okazji mówić o teatrze zawodowym, zwłaszcza łódzkim, trochę i o jego historii, dyskutując o sztuce teatru. Znając zainteresowanie i zyczliwość łódzkiego środowiska twórczego dla spraw kultury studenckiej liczymy, że uda nam się zrealizować ten zamiar.

OBIEKTYW

O TELEWIZyjNEJ WYMOWIE REKWIZYTU

Telewizyjne Studio Współczesne pomysłami jest jako swoiste laboratorium. Tutaj można wypróbować teksty dramatyczne jeszcze niecałkiem zadowolające pod względem artystycznym, ale atakujące aktualne problemy. Tu jest miejsce dla debiutu autora, który nie ma zbyt wielu doświadczeń w zakresie dramaturgii telewizyjnej. Tutaj wreszcie próbować można rzeczy dyskusyjne, eksperymentalne, nawet ekskluzywne.

Dalbyśmy przysłowiowego konia z ręką do tego, kto mi wytłumaczył, dla jakich względów spektakl „Baron Münchhausen” według opowiadania Bohumila Hrabala trafił właśnie do Studia Współczesnego. Czy nie byłoby słuszniej nadać go w ramach tzw. teatru poniedziałkowego uważanego za bilet wizytowy Telewizji Polskiej?

Przed wszystkim dlatego, że chodzi o dobrą literaturę, bynajmniej nie budzącą wątpliwości. W opowiadaniu swoim o panu Hancie, współczesnym baronie Münchhausenie, podobnie jak w powieści „Pociągi pod specjalnym nadzorem”, Hrabalowi udaje się dotrzeć do samego miąższu życia. Jego bohaterowie i ich sprawy nie są wymyślone, tkwią mocno w rzeczywistości. W dodatku sprawy małe, banalne urastają pod piórem czeskiego pisarza do jakiegoś egzotycznego wręcz piękna.

W gadulstwie Hanty pobrzmiwają echa dobrego wojska Szwajcarii, z tym, że bohater Haszka uczestniczył przynajmniej w wydarzeniach na miarę historyczną, podczas gdy poczciwy pracownik składu makulatury ma za tło wydarzenia codzienne, zdawałoby się nieciekawe. Tym większa zasługa Hrabala, że w tak zwyczajnej scenarii potrafi wyzierać barwnie, fascynujące obrazy.

Nie jest „Baron Münchhausen” czynnikiem eksperymentalnym ani ekskluzywnym. Ta dobra strawa artystyczna przypada z pewnością do gustu większości widzów. Więc raz jeszcze pytanie: skąd to skromne przesunięcie w ramy Studia Współczesnego?

Ostatecznie jednak nie to jest najważniejsze, choć teatr środowowy jest z pewnością mniej oglądany przez publiczność niż poniedziałkowy. Ważne jest, że dzięki reżyserowi Zygmuntowi Habnerowi i wykonawcy głównej roli Tadeuszowi Pijewskiemu odbarzeni zostaliśmy bardzo dobrym widowiskiem. Nie chcielibyśmy także umniejszać przy tym zasług innych wykonawców, a przede wszystkim R. Hania, E. Dzieńbowskiego, A. Dymyzy, B. Pawlika i innych.

Ale wrodzona przewrotność podsuwa mi myśl, by podkreślić rolę, jaką w omawianym spektaklu odgrywały rekwizyty. Rekwizyt w teatrze jest najczęściej przedmiotem pomocniczym. Ot, czymś co na chwilę zajmie ręce aktora, lub posłuży za pretekst dla kolejnej kwestii. W telewizji funkcja rekwizytu była inna.

Wynika to zapewne stąd, że podczas gdy w wielkiej sali teatralnej drobny rekwizyt dostrzegany jest przez publiczność z pewnym trudem, to na ekranie telewizyjnym przy zastosowaniu zbliżenia kamera chwila mi skupia na sobie główną uwagę widza. Ileż to razy kamera bliżej po fragmentach reliefu czy sztukaterii, zatrzymuje się na stylowych meblach, względnie ich częstokach, ukazuje z bliska nakrycie stolowe itp!

Rekwizyt przestaje być w takich ramach szczegółem drugo- czy trzeciorzędnym. Skoro na moment choćby wypełnia sobą kadr telewizyjny — nabiera wagi, staje się elementem plastycznym, a często ma wymowę metaforyczną czy symboliczną. Dochodzi do głosu nieraz na równi z twarzą aktora. Bywa także miarą upływającego czasu, cesurą, lub łącznikiem między scenami widowiska.

Do tych dłuższych rozważań nad rekwizytem skłonił mnie właśnie „Baron Münchhausen”, w którym udział rekwizytów możemy dostrzec nie tylko ich ilością, ale i znaczeniem dla charakteru widowiska. Właśnie w rekwizytach dopatruje się po części smak tego przedstawienia.

Nie były to rekwizyty stylowe, ani olśniewające urodą i kształtem. Przeważnie, przedmioty codziennego użytku — wózek, skrzynka, pudełko, zwal makulatury, kieliszki, butelki. Jedyną okrasą stanowią kiczowate anioły wycofane z kościoła i pilowane przez Hantę i kościelnego na drzewo opałowe.

Oczywiście, obecność każdego z rekwizytów da się wytłumaczyć realną sytuacją w poszczególnych fragmentach spektaklu. Ale chyba będzie to wytłumaczenie niewystarczające. Reżyser z pomocą scenografa (K. Husarska) kazał przedmiotom tym przemówić, wesprzeć aktorów uzupełnić ich słowa i grę.

Powiedzmy szczerze: świat, w którym obraca się Hanta jest pewnym marginesem życia. Te marginesowość właśnie sygnalizowały rekwizyty w środowym spektaklu. Dzięki nim jednocześnie igrasza pana Hanty ulegały natchnionemu demaskowaniu. Jego przechwałki wpisane były bowiem w łachmański świat.

Na tym przykładzie chciałem pokazać, że warto czasem zastanowić się nad telewizyjną wymową rekwizytu.

Władysław Orłowski

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Kino, wielki moloch, maszyna pochłaniająca, przetwarzająca, rzucająca na rynek setki, tysiące stale nowych filmów, stale nowych tematów musi zaspokoić za potrzebowanie sal kinowych, których drzwi stoją otworem czekając na widzów. Odbiorcy nie interesują się kto bledzi się nad pomysłami i tematami, widz żąda filmów, żąda przede wszystkim rozrywki, rzadziej bodźców intelektualnych i estetycznych. W poszukiwaniu tych ostatnich bledzi na filmy artystyczne, filmy ambitne, autorskie, zaangażowane. Znacznie łatwiej o nie trudniej, łatwiej znaleźć lepszą lub gorszą rozrywkę, ale na niej przecież kinematografia stoi. Poszukiwanie tematu to nie tylko bołaczka i kłopot naszej kinematografii, choć na pozór łatwiej zreali-

zować 20 filmów rocznie aniżeli setki filmów wówczas gdy w rocznej produkcji dochodzi się do tej ilości tytułów. Nie dziwi zatem zjawisko, że scenarzyści w krajach gdzie produkcja filmowa musi sprostać dziesiątkom zamówień. Tematów szuka się zatem wszędzie, a kryterium zasadniczym produkcji komercyjnej staje się gust przeciętnego widza. Komedie, melodramaty, filmy grozy i sensacji, filmy widowiskowe, westerny i kryminały królują w zestawie gatunkowym tej produkcji. Scenariusze oryginalne przede wszystkim, ale sięganie do literatury, poszukiwanie tematów w zdarzeniach historycznych, w mitologii, w starych kronikach sądowych itd. to stała pożywką dzisiejszego kina komercyjnego. Nie oczekujemy po tych filmach wiele, czekamy przecież tylko

na jakąś formę rozrywki, a przecież i przy niej może przyjść chwila refleksji. Trudno angielski film R. Lynna „DR CRIPPEN PRZED SADEM” nazwać lekką rozrywką, niemniej stanowi on jakąś jej odmianę mieszającą się w formule filmu kryminalnego ocierającego się już o drammat psychologiczny. Film Lynna to dość wymowny przykład owych gorączkowych poszukiwań tematów. Znalazł go reżyser w zapomnianej kronice sądowej, odzwierciedla autentyczną historię morderstwa, które w 1910 roku poruszyło opinię społeczeństwa brytyjskiego. Gdyby Lynn potrafił przetransmitować historię tego morderstwa i późniejszego procesu, byłoby to tylko zerowanie na temacie, tym bardziej przykrym że autentycznym. Uniknął jednak reżyser tego zarzutu, nada-

jąc zrelacjonowanej historii kryminalnej akcenty dramatu psychologicznego i oceny zamkniętego już świata wiktoriańskiej obyczajowości.

Postać dra Crippena i historia popełnionego przez niego morderstwa porusza jeszcze i dzisiaj. Reżyser śledząc dzieje dra Crippena i motywy jego działania odbarza tę postać pewnym uczuciem wyrozumienia, stawia w wątpliwość werdykt sądowny, widzi w Crippenie ofiarę wiktoriańskiej obyczajowości, dotyka problemu kary śmierci w ogóle. Sądzi jednak należy, że twórca filmu nie zdawał sobie do końca sprawy z tego, że podjęty temat mógł nabrać tej rangi problemowej jaką osiągnął w swej „sądowej serii” H. Cayette, który przed laty wzburzył swymi filmami opinię publiczną.



Punktem wyjściowym dzisiejszych recenzji był problem pogoni za tematem. Niech więc uwagi na marginesie filmu Frederica Rossifa staną się wielką pochwałą owych poszukiwań. Znamienny transkrypcyjny dokumentarz jest przykładem owej wielkiej pasji poszukiwawczej, ukierunkowanej jednakże świadomości i konsekwentnie. Znany u nas dzięki wstrząsającemu montażowemu dokumentowi „Umrzeć w Madrycie” w filmie „ZWIERZĘTA” ujawnia nie tylko mistrzostwo rzemiosła dokumentalisty rejestrującego rzeczywistość, ale prezentuje się jako twórca dokumentu, który jest swoistą kreacją, w której wykorzystuje się rzeczywistość autentycz-

nie zastaną. Pamiętamy sprzed kilku lat znakomite filmy Disneya „Ginąca preri” i „Żyłka pustynia”. Zachwycaliśmy się tymi filmami i trudno „Zwierzętom” Rossifa wróżyć aż taką popularność, jaką osiągnęły filmy Disneya. Disney dokonał zabiegu, którym podbił publiczność, dokonał dzięki świetnym zabiegom montażowym fabularyzacji swych opowieści o zwierzętach. Disney jak gdyby „uczłowieczył” świat zwierząt, w ich życiu odnawiał problemy i cechy rodzaju ludzkiego. Rossif dokonuje jak gdyby zabiegu odwrotnego śledząc świat zwierząt szuka w nim przykładów ludzkiego działania. I w tym chyba celu opstraja swój film cyta-

tem z dzieł wielkiego przyrodnika Buffona: „Gdyby nie było na świecie zwierzęt, człowiek byłby dla samego siebie jeszcze bardziej niezrozumiały”.

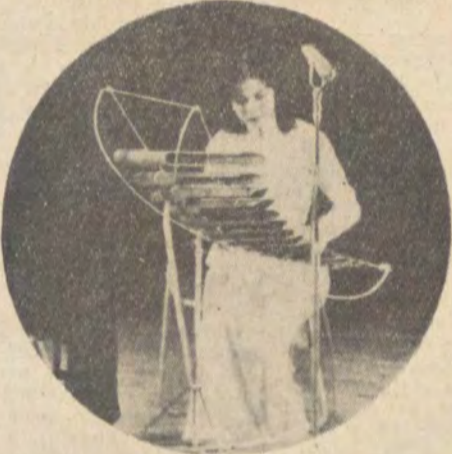
Nie znajdziemy w filmie Rossifa fabuły rzucających zabiegów Disneya, jednakże dopatrzmy się w nim zamkniętych rozdziałów, traktujących o różnych tematach. Jego opowieść o zwierzętach to przypomnienie drogi rozwojowej życia na ziemi, to poszukiwanie ostatnich miejsc na świecie, gdzie zwierzęta żyją w niczym nienaruszonej jeszcze swobodzie natury, to bezkompromisowe poszukiwanie dowodów na odwieczną walkę o byt i doko-

nie do trwania gatunku, to wreszcie ilu stracja brutalnej interwencji człowieka w dziki swobodny świat zwierząt. Te rozdziały przeplata Rossif pełnymi obrazowymi medytacjami nad tym jak ludzki świat baśni, marzeń i snów wyrósł z obserwacji świata zwierząt, który człowiekowi jest bliższy aniżeli się to czasem wydaje. Ostrość i bezkompromisowość spojrzenia, uczuciowości relacji świata obserwowanego, poezja i piękno film Rossifa podkreślone muzyką M. Jarre'a dostarcza wielu refleksji i wstrząsów.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecie



Gra na instrumencie zwanym dan to rung.

WIETNAMSKI ZESPOL
● We Francji przebywa ze spól tańca, muzyki i teatru z Wietnamskiej Republiki Demokratycznej.
Spektakle tego zespołu, liczącego osiemdziesięciu artystów, wzbudziły ogromne zainteresowanie widzów i krytyki. Zespół po występach w Paryżu da jeszcze spektakle w innych miastach Francji. W zamian Francuzi urządzają w Wietnamie Północnym wystawę dzieł Rodina.
„Wyjątkowy spektakl, bardzo piękny, bardzo wesoly, bardzo miody” — píše recenzent „L'Humanité Dimanche”. Bo też występ wietnamskiego zespołu dla europejskiego widza jest niezwykle oryginalny i niesłychanie egzotyyczny. Tańce, muzyka, śpiew, teatr pochodzą z różnych stron Wietnamu, a tradycyjne, oparte na elementach ludowych tańce jak np. tańce z dzwonczkami czy z parasolkami, choć narodziły się w różnych czę-

ściach kraju, są dziedzictwem całego ludu wietnamskiego.

Niekiedy oryginalne są tradycyjne instrumenty —

I tak saongang jest czymś w rodzaju fujarki używanej przy ważnych uroczystościach rodzinnych jak wesole czy pogrzeb.

Zrobiony jest z bambusowego pręta, w którym wywiercono sześć otworów. Instrument ten narodził się wśród pasterzy, a widok małego pastuszka siedzącego na grzbiecie bawołu i grającego na saongangu jest charakterystycznym elementem wiejskiego pejzażu.

Dan-ban to jedyny tego rodzaju na świecie instrument. Zrobiony jest z tykwy, posiada tylko jedną strunę. Ton przypomina dźwięki pły i gitary hawajskiej. Podobno muzyka na tym instrumencie tak silnie działa na dziewczęcia, że nie są w stanie oprzeć się jej urokowi. Toteż ludowa piosenka ostrzeża dziewczynę, aby nie słuchała dan-bana bowiem wiele jest dziewcząt, które nie potrafią oprzeć się temu chłopcu, który gra na dan-banie, jednostrunowym instrumencie.

Zrobiony jest z bambusowego pręta, w którym wywiercono sześć otworów. Instrument ten narodził się wśród pasterzy, a widok małego pastuszka siedzącego na grzbiecie bawołu i grającego na saongangu jest charakterystycznym elementem wiejskiego pejzażu.

Dan-ban to jedyny tego rodzaju na świecie instrument. Zrobiony jest z tykwy, posiada tylko jedną strunę. Ton przypomina dźwięki pły i gitary hawajskiej. Podobno muzyka na tym instrumencie tak silnie działa na dziewczęcia, że nie są w stanie oprzeć się jej urokowi. Toteż ludowa piosenka ostrzeża dziewczynę, aby nie słuchała dan-bana bowiem wiele jest dziewcząt, które nie potrafią oprzeć się temu chłopcu, który gra na dan-banie, jednostrunowym instrumencie.

Dan thap luc jest rodzajem cytry o szesnastu strunach. Znany jest w Wietnamie od szesnastego wieku. Wydaje krystaliczne, niezwykle czyste dźwięki. Gra na tym instrumencie służy przeważnie jako akompaniament głosów kobiecych.

Dan nghuyet jest okrągły, wydaje różnorodną dźwięki. Przeważnie używany jest do akompaniowania w teatrze.

Dan nhi istnieje od dziesięciu wieków. Posiada dwie struny. Używany jest



Taniec z kapeluszkami

głównie w zespołach orkiestrowych.

Dan to rung niegdyś zrobiony był z pojedynczego pręta bambusowego. Jego dźwiękami wieśniacy odpędzali drapieżne zwierzęta i ptaki. W ciągu wieków zwiększyła się ilość prętów. Dziś posiada ich do szesnastu. Z wyglądu przypomina nasz ksylofon.

Zespół wietnamski tańca, muzyki i teatru występował podczas najsilniejszych bombardowań dając ludności Wietnamu spektakle w najtrudniejszych warunkach. I tak nierzadko występy musiały się odbywać w schronach położonych 20 metrów pod ziemią, kiedy indziej w olbrzymim leju po bombie, lub pod maskującą ochroną z liści i zielonąją ochroną z liści i zielonych gałęzi. Wśród zespołu są osoby które były ranne od amerykańskich pocisków i bomb.

KSIĄŻKA W PUDEŁKU

● Jeden z londyńskich wydawców rzucił ostatnio na rynek księgarski książkę która stanowi osobliwość. Kartki tej książki umieszczono nie są w pudełku. Tylko pierwszy i ostatni rozdział są numerowane. Reszta rozdziałów jest dowolnie pomieszana, a czytelnik może je czytać w porządku jaki sam uzna za stosowny. Autorem tej dziwnej książki jest Bryan Johnson, pisarz który otrzymał dwie literackie nagrody za powieści pisane całkowicie tradycyjnie. Obecna książka jest opowieścią o reporterze sportowym i ma tytuł „The Infornated”. „Przeszłość i teraźniejszość mieszają się w sposób całkowicie nieporządany. W ten sposób funkcjonuje umysł — przynajmniej mój. A ja chciałem, aby ta książka oddawała możliwie jak najdokładniej mechanizm funkcjonowania umysłu” — powiedział autor powieści.

Kilka lat temu Bryan Johnson wydał książkę z wielkimi dziurami w kartkach. „Aby — jak mówi — dać czytelnikowi możliwość wglądu w dalszy tok akcji”.

POECI FRANCUSCY W JĘZYKU CZUWASKIM

● Dzieła siedemdziesięciu siedmiu poetów francuskich od Francois Villona do Aragona zostały przetłumaczone na język czuwaski i ukazały się niebawem w druku, staraniem jednego z wydawnictw radzieckich.



Edward Munch: Para zakochanych na brzegu morza. Litografia.

WYSTAWY GRAFIKI MUNCHA W NRP

● Z Muzeum Im. Muncha w Oslo przewieziono do Monachium wybór dzieł Muncha składający się ze stu litografii, drzeworytów i rysunków.
Większa ilość dzieł wielkiego norweskiego artysty znajduje się w muzeum jego imienia w Oslo. Jest tam ok. 4.500 rysunków i akwareli oraz ponad tysiąc obrazów.
Edward Munch (1863—1944)

malarz i grafik ekspresjonista, rozpoczął swą twórczość pod wpływem malarstwa secesyjnego. Później pod wpływem współczesnego mu malarstwa francuskiego i twórczości Van Gogha wypracowuje sobie własną formę. Do ulubionych tematów Muncha należały: choroba, zadróść, miłość, śmierć.

Po styczniowej wystawie dzieł Muncha w Monachium, wybór dzieł artysty zostanie pokazany w szeregu innych miast Niemiec zachodnich.

WYSTAWA MALARSTWA FRANCUSKIEGO W LENINGRADZIE

● W Leningradzie została otwarta wystawa malarstwa francuskiego. Tematem jej

jest „Romantyzm w malarstwie francuskim”. Wśród siedemdziesięciu siedmiu obrazów są tu dzieła Davida, Prudhona, Gericaulta, Delacroix, Corota, Rousseau, Dauiera.

spektakle tygodnia

Teatry

	Spektakle	Widzów	Procent
WIELKI			
„Pan Twardowski”	2	2520	100
„Zemsta nietoperza”	1	1260	100
„Jeziorek labędzie”	1	1260	100
„Cyrułek sewilski”	1	1260	100
NOWY			
„Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”	4	2800	100
„Zeglarz”	1	700	100
„Czerwone pantofelki”	1	700	100
NOWY Mala Sala			
„Księżyc świecił nieszczęśliwym”	1	200	100
„Błiski nieznamy”	4	600	80
POWSZECHNY			
„Czarna komedia”	2	1320	100
„Taniec śmierci”	1	600	83
„Kawior i kaszanka”	2	1320	100
„Turniej z czarodziejem”	1	660	100
JARACZA			
„Wesele”	3	1680	89
7.15			
„Znamy cię tylko z widzenia”	2	730	87
TZL			
„Mieszczanie”	3	630	73
„Fircyk w zalotach”	9	1967	75
OPERETKA			
„Turniej w Rio de Maracasso”	5	5259	90
FILHARMONIA			
2 koncerty symfoniczne		620 słuch.	50

Bez strachu

NIENZANY PRZYJACIEL

Mój nieznan przystajcie bezkarnie czuwa nad każdą moją niedolą — wypelnia ją i usuwa — naprawia każdy błądny mój krok. A przecież nigdy nie widziałem jego twarzy, nie czułem dotyku jego ręk, które wsuwały mi do kieszeni nagłą i nieoczekiwaną pięćsetkę, właśnie brakującą i nieodzowną. To on telefonował do swej redakcji, gdzie nosłem pierwsze rękopisy — poprowadził mnie i chwalił tym telefonem. To on stawił przeciwko wiele światów nie zamówione

i nie opłacone mleko pod moimi drzwiami. Powoli przy wykład do jego bardzo świa domych usług. Znał moje potrzeby, a nawet moje zamiary lepiej niż ja sam je znałem — co więcej kształtował moje działania — żyłem prowadzony jego niewidzialną ręką. Niekiedy usłowa, lecz ustalić jego rysy — dowiedzieć się gdzie mieszka, dlaczego poświęca mi tyle życiowego czasu. Nikt nie powiedział mi o nim nic konkretnego. Kryje się przede mną przypominając e s o bie tylko bezstałą życzliwą pomocą. Być może jest szpynielnym potworkiem o pięknej duszy... a może opiekę nada mną nakazał mi ktoś inny, ktoś jeszcze życzliwszy, i jeszcze bardziej ukryty, a za tym kimś innym kryje się jeszcze głębiej dalszy, mocniej życzliwy? Być może stała, pracowała życzliwość — wymaga ukrycia — martwieje w świetle jawności! Znalom kiedyś chorego schizofrenka, ten powiedział, że tropi go i niszczy straszny i głęboko ukryty wróg — ów wróg okradł go, szkalował, dybał na jego życie. Była to zupełna odwrotność mojej sytuacji — Czyżbym ciężył się wybujął antyszczeloność, czyżbym był krańcowo i maksymalnie zdrowy, zdrowy do zupełnego złudzenia? Kim on jest, który nakazuje, w chwili gdy brak mi właśnie tysięcy złotych szukać mnie z długiemi, dawno zapomnianemu dłużnikowi, który namawia kelnera by słaował przede mną najluźniejszą kołtę, najszczęśliwszą surówkę, najbardziej rumiane szaszłyki, który nieomylnie sądził mnie na fotelu najlepszego fryzjera, który wypycha mi do rąk najciekawsze książki. Życzliwość przychylny cęka na każdą chwilę mojego smutku by doskoczyć ze stosowaną rozrywką, gdy mężczyźnie bezsenność, usypia mnie monotonnym pluskiem wody u sąsiada, gdy rano brak mi trzeźwości odbudza mnie radosnym szczebanem psa. Trochę się o moje ciepło i zimno, o sytość i zdrowie — ochrania mnie przed naiwnym racjonalizmem i przed taną mistyką. Popycha moje słabe pióro i wmacnia jego zapis. Zwierzę się z niewdzięcznego, slinego pragnienia w jego sprawie. Pragnę od niego tylko jednego — niech mi się ukaże, niech mi powie wszystko o sobie, a potem niech ustanie już jego wszechogarniająca pomoc. Niech pozostanie, słaby i chorowity — prawie nieruchomy — lecz widzący go i wiedzący o nim wszystko co człowiek taki jak ja wie dzieć może. Tego jednego życzenia, on nie chce lub nie może spełnić — wiem, że zawsze już będę żył szczęśliwy i wspierany i pozbawiony widoku dobrodziejstwa i wiedzy o nim.

BERNARD SZTAJNERT

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

HAPPENING ZNACZY ZDARZENIE

WERNISAZ Z MAKARONEM — ELIOT WPISANY W KOŁO — „GWIZDAŁY NIETOPERZE...” — BIEL I CZERN — IKONY OBROSŁE SĄDZĄ — SZUKA CZY SZUKA MIĘSA?

Happening znaczy zdarzenie. Oczywiście zorganizowane i wyreżyserowane zdarzenie, którego celem jest zaszokowanie publiczności. Na Zachodzie jest to zabawa dość popularna — żaden poważniejszy wernisaz nie odbywa się bez happeningu. Bywają one różne — ot, obrzuca się na przykład publiczność gotowanym makaronem, bądź oblewa sokiem pomidorowym. Szok bywa zupełny. Zwłaszcza u tych, którym wizytowe garnitunki nieco się na wernisazu poniszczą.

W Łodzi nie było jak dotąd happeningu — choć Andrzej Grun odgrażał się, że takowy zorganizuje. Zabrakło jednak sił i środków na reżyserię — wystarczało na zdarzenie. Jest nim na pewno wystawa grafiki tego artysty — grafiki inspirowanej „Ziemią jałową”, poematem T.S. Eliota.

„Jaki korzeń tu drąży, jaka gałąź rośnie

Na kamiennym pustkowiu? O synu człowieczy,

Nie zdolasz zgadnąć, wyznać, Ty widziałeś tylko

Stoś strzaskanych posągów, gdzie słońce zabija”.

W pracowni na poddaszu ikony ruskie i z głosnika rosyjskie ballady a ze ścian patrzy plansze. Dwa dzieła trzy rysunki najczęściej wpisane w koło, w okrąg będący zegarem, ziemskim globem, kropką... To nie ilustracje lecz swobodna gra skojarzeń... Kręgi i koła wyznaczające kompozycyjne ramy grafice Gruna — w nich zawarta jest ta mno gość rzeczy i spraw, sugestywna wizja karmiona popępną frazą poematu.

Strzaskane posągi, popiersia Cezarów i Aureliuszów, kobiety-nietoperze w klatkach sygnowanych cyframi... Wirują ręce i twarze kobiet

ze strumyczkami krwi w kącikach ust, brzęczą kajdanki jak złote bransolety, ręce i cyfry, tysiące cyfr, monstrualne szeregi cyfr pokrywające drobnolutką fakturą ludzkie twarze. „I brzęk i hałas wewnątrz, gdzie rybaków tłum zbiera się o dwa następnym”.

Wiwowanie skojarzeń — „tu nie ma wody, tylko naga skała. Skała, brak wody i piaszczysta droga” — smukłe ręce obrósłe szpilkami, zamki (na wodzie? na lodzie?) odwrócone wieżyczkami w dół jak w lustrze jezióra — „w zapadłej dziurze pomiędzy gorami trawy śpięją w poświacie księżycy”.

„Gwizdały nietoperze

dziecięcej twarzy

I pelwały w dół głową po ścianach szczerzalnych.

Dzwoniąc wspomnieniem dzwonów mierzących godzinę w powietrzu odwrócone na dół wieże trwały...”

Czytam „Ziemię jałową” i nadpływają z pamięci posępne obrazy ze ścian pracowni Andrzeja Gruna. Nie wiem, czy ktoś już kiedyś wpadł na pomysł takiego właśnie malarskiego skomentowania wspaniałego, sugestywnego poematu Eliota. Wiem, że Grunowi udało się chwycić tę nitkę nastroju i atmosfery snującej się przez poemat, udało mu się chwycić ową rozkojarzoną frazę „Ziemi jałowej” i zamknąć w koło i kwadrat obrazu. Dlatego właśnie dla mnie wystawa ta jest owym hap-

peningiem — artystycznym zdarzeniem, choć nikt tu nikogo nie obrzuca makaronem. Ale szok jest — ta grafika szokuje bogactwem tego co się dzieje na białych kartkach. Monotematyczna ekspozycja Gruna nie jest też adresowana wyłącznie do miłośników czy choć by tylko czytelników Eliota — wirujący, przebogaty świat posępnych wydarzeń i spraw jest bowiem wartościową samą w sobie. Jest zrodzony frazą eliotskiego poematu — oczywiście — powstał dzięki tamtemu poetyckiemu światu — oczywiście — ale biel i czerń tej grafiki pozostawiona sama sobie na gładkich ścianach galerii, odarta z literatury — świeci odbitym światłem poezji przemienionej w inny gatunek sztuki.

Biel i czerń. Jak to było w „Alicji w krainie czarów”? — „Na dużych białych kawałkach papieru stara liśmy się mazać kolorowymi i czarnymi patyczkami wsiwy stko, co tylko nam do głowy przyszło. Czasami znów robiliśmy to samo zupełnie na czarno...”

Andrzej Grun staje przed czernią i bielą — te dwie pozornie zwykłe, ale podstawowe barwy najbardziej go intrygują. Nimi rozgrywa na kartonie subtelności, tony i scieżenia eliotskiego poematu.

„Ale jest jeszcze inny happening Gruna. Jego prywatny, kameralny — nie z sal wystawowych, ale z czterech

ścian pracowni. Happening barwny i urokliwy. Mówi o nim: „Ikony ruskie — dla ciszy stworzone — obrósł sadzą — gdzie złoto w purpurze — ikony ruskie...” W obramowaniu cyrylicy, na grubych deskach surowego drzewa — stoja na półce, na radioaparacie marki „Atut”, na oknie, na przyście książki, na stole. Ikony ruskie... Oglądać je można z podkładem muzycznym pieśni Okudźwa, smakować jak mocną czarną kawę. Ikony ruskie — prywatny, barwny happening Andrzeja Gruna.

Kiedy na sopockiej plaży Tadeusz Kantor urządził pierwszy, popisowy pokaz happeningu — ludzie znaczą co pukali palcem w czoło. Wzajemne obławianie się sokiem pomidorowym „made in Pudliszki” jakoś nie przemawiało do wyobraźni. Może więc lepiej zostać przy happeningach szokujących bielą i czernią grafiki, fakturą i barwą malarskiej planszy?

Myślę, że tak będzie lepiej i dla plastyki i dla odbiorców. W końcu wolę malarzy wspierających swoją sztukę wielką poezją — niż malarzy, którzy używają do tego celu wytlóczyzn z jaryz — nawet bogatych w witaminę. Sztuka bowiem może być doskonale obejść bez jaryz. Wyjatek stanowi tylko sztuka mięsa.

Jerzy Widok

SZCZUR NA TACY

— Chce pan iść na wystawę nowoczesnej sztuki? — zaproponowano mi.
— Chcę — odparłem.
— Poszliśmy.

I.

— To jest ta wystawa nowoczesnej sztuki? — spytałem.
— Tak.

— Wspaniała!

Usłyszawszy me słowa, dwóch młodych dryblasów, o twarzach upstrzonych efektowną różową wysypką, z fantazyjnie zatkniętymi za naszywkę bluzi dremnianymi łyżkami, podeszło do mnie, pytając natarczywie:

— Naprawdę podoba się panu nasza wystawa?

— Mam być szczerzy?

— Oczywiście.

— Jestem zachwycony!

— W tym momencie oświedziła mną podwójna, niewysłowiona rozkosz: sprawiło to dotknięcie dwóch spoconych dłoni, które spoczęły na mej ręce oraz widok pięcionożnej, niebieskiej świnii, namalowanej na skrawku maty.

— To pańska świnia? — spytał dryblas z lewej strony.

— Kolegi. Podoba się panu?

— Bardzo. Zwłaszcza, że to piąta noga. To dodaje wieściu jakby hartu ducha. A gdzie są oczy?

— Oczy nie ma.

— Słusznie. Po diabła świnia czy? Wystarczy piąta noga. Prawda?

Młodzi ludzie, z cudownym odcieniem różowej w sytki na czołach i policzkach, jakby z niedowierzaniem spojrzeli na mą prosto duszną twarz, ale uspokoił się, a ten z prawej strony spytał:

— Może pan to kupić?

— Świnie? Chętnie. Ile kosztuje?

— Pięćdziesiąt... — widać było, że młody człowiek jest wyraźnie zakłopotany: nie wiedział czego pięćdziesiąt — rubli czy kopejek. Jednakże spojrzawszy jeszcze raz na me tchnące życziwo-

ścią oblicze nabrał śmiałości i rzekł: — Pięćdziesiąt ko... rubli. To znaczy dokładnie — sześćdziesiąt rubli.

— Wcale niedrogo. Myślę, że gdyby to powieścić między oknami w salonie, bardzo ładnie by wyglądało.

— Naprawdę chce pan to wiesz czy w salonie? — zdziwił się drugi młódzian.

— Przecież to obraz. Dlaczegoż więc nie powieścić?

— Ma pan rację. Rzeczywiście obraz. A może chce pan zobaczyć moje dzieło pod tytułem: „Zmierzch teraźniejszości”?

— Chętnie.

— Proszę, pan pozwoli za mną... Widzi pan, obraz mego kolegi „Swinia jako taka” namalowany jest według tradycyjnej szkoły — farbami. A ja nie uznaję farb — farby krępują.

— Jeszcze jak! — podchwyciłem. — Nic tak nie krępuje człowieka, jak farby. Zadnego z nich pożytku, tylko krępują... Gdzie jest ten pański obraz?

— Tu wisi, proszę... Oryginał, co?

II.

Trzeba oddać sprawiedliwość młodemu mistrzowi z różową wysypką — znalazł on idealne rozwiązanie, wyrzekając się farb: na ścianie wisiała metalowa czarna taca, na środku której był przymocowany jakimś klejącym substancją nieduży, zdechły szczur. Z jednej i drugiej strony szczura me lancholijnie spoglądały na widza dwa papierki po cukierkach i cztery wypalone zapalki, ułożone w przyjemny dla oka zygzak.

— Wspaniałe dzieło sztuki! — pochwaliłem, zachwyceni. — Ile w tym jest nastroju! „Zmierzch teraźniejszości”. Tak... Gdyby mi pan nawet nie powiedział jaki tytuł ma pański obraz, sam bym się tego domyślił. Przecież to nic innego, tylko „Zmierzch teraźniejszości”. A tego szczura sam pan schwytał?

— Sam.

— Cudne zwierzę. Szkoda, że zdechło. Można je poglaskać?

— Proszę bardzo.

Westchnawszy, poglaskałem trupka.
— Jaka szkoda, że to jest nietrwale... — zauważyłem. — Jakis tam Velazquez czy inny Rembrandt żyja setki lat a pańskie arcydzieło po dwóch, trzech dniach zniszczy się.

— Tak — zgodził się artysta i z troskliwością spojrzął na szczura. — Zdaje się nawet, że on już się rozkłada. A zaledwie dwa dni tu leży. Więc jak — nie kupuje pan?

— Sam nie wiem co zrobić — spojrzałem niezdeterminowany na dryblas. — Gdzieby to powieścić. W stolowym?

— Niech pan powiesi w stolowym — zgodził się artysta. — Jako martwą naturę.

— Ze martwa, to fakt. A gdyby tak szczura zmieniać co dwa, trzy dni? Tego by się wyrzuciło, a pan upolowałby nowego i przykleił mi na tacy?

— Nie mam na to ochoty — zmarszczył czoło młódzian. — To krępuje indywidualność artysty. Sam nie wiem co z panem zrobić... Ale kupuje pan?

— Kupuję. Ile pan chce? — Ile by tu wziąć od pana? Czteryście... — dryblas drgnął, bojaźliwie popatrzył na mnie i westchnawszy skończył: — Czteryście kopiejęk.

— Biorę. A teraz chciałbym jeszcze kupić coś bardziej trwałego. Coś jakby tu powiedziec — nieorganicznego...

— „Amerykanin w Moskwie”. Kupi pan? To moje dzieło.

Zaciągnął mnie do jakiejś deski, na którą nabite były trzy blaszane rurki, pudełko po konserwach, nożycki i odłamek lusterka.

— Proszę, oto rzeźba: „Amerykanin w Moskwie”. Myślę, że sztuczka w deseczkę. Udała się, co?

— Jeszcze jak! Mocna rzecz. Patrząc na to, aż się

nieważne. Byleby gotóweczką.

III.

Byłem tak wzruszony życzliwością i sympatią, jaką mi okazali ci dwaj młodzi, ambitni i awangardowi artyści, że postanowiłem się im odwdziżyć.

— Panowie! Chciałbym was przyjąć u siebie w domu i okazać wam cześć jako przedstawicielom nowej, wspaniałej sztuki, odkrywającej przed nami, zacyfanami profanami niezmiernie dale, które...

— Idziemy — zgodzili się młodzi ludzie z łyżkami w naszywkach i przyjemną, różową wysypką na twarzach. Cała przyjemność po naszej stronie. Dawno już nie okazywano nam honorów.

— Co panowie mówią! Co się stało z tym naszym narodem. Ale ja jestem inny, Obnażam przed wami moją pustą lepetynę, schylam ją w pokorze i prosto, od serca, mówię: „Prosimy serdecznie!”.

— Pojedziemy dorożką — zaproponował jeden z artystów. — Tylko drobnych jak kość nie mogę znaleźć.

— Nie szkodzi. Panowie pojedą z tymi łyżkami w naszywkach?

— Oczywiście. Niech się śmieją tłuszczy filistrzy i zgnil-

bliej poznać zwiastunów nowoczesnej sztuki.

— Panowie się przedstawiają — zwróciłem się do artystów. — To moi przyjaciele. Proszę nie zwracać na nich specjalnej uwagi. To ludzie o zastarzałych i zacofanych poglądach. A panów, pionierów nowoczesności, bardzo proszę podprowadzić się panującym w tym domu zwyczajom. Panowie będą łaskawi rozebrać się.

— Dziękujemy. Już zdjęliśmy płaszcz.

— Co tam płaszcz! Panowie rozebrali się do rosołu.

— Będziemy wam oddawać cześć.

— To przecież można tak... nie musimy się do tego zbierać.

— Ciekawy jestem w jaki sposób! Jak można wysmarować wam ciała konfiturami z malin, gdy będziecie mieli na sobie ubrania?

— Wysmarować nas... konfiturami z malin? Ale dlaczego?

— To moja potrzeba wewnętrzna. Każdy ma swój gust. Panowie przykleicie na tacy zdechłego szczura i mówicie: to jest obraz. Dobrze. Zgadzą się. Nawet kupięm to u was. „Amerykanina w Moskwie” też ku piłem. To wasz styl. A ja mam swój własny sposób oddawania czci młodym, obiecującym talentom. Smaruję ich konfiturami z malin, obsypuję confetti, przyklejam im na policzkach dwa lepy na muchy, po czym sadzam ich na zasztywnionych miejscach. Do jedzenia dostaniecie specjalną sałatkę przyrządzoną z kawalków tapety, porąbanych szczonek do zębów i ciepłej wazeliny. Prawda, że oryginalne? Popijcie to wodą gularową. No, proszę, rozebrajcie się. Halo, panowie! Przygotowaliście tam konfitury i confetti?

— Proszę pana, my się nie zgadzamy... Nie macie prawa.

— Dlaczegoż to?

— To przecież bzdura: wiać żywego człowieka, wysmarować malinowymi konfiturami i obsypać confetti! Do tego jeszcze na karmię go tapetami i wazelina... Czy tak wolno? Nie chcemy i już. A w ogóle to jest znęcanie się. Tak nie wolno! Poskarżymy się!

— Poskarżycie się? — wrzasnąłem, wpadłszy we wściekłość. — Poskarżycie się? A czy ja się skarżyłem komukolwiek, gdy sprzedawicie mi pięcionożną świnie i kawalki blachy na drewnianej desce? Odmówiłem wam?!! Mówiliście: nie chcemy, żeby nam krępowała nie indywidualność. Dobrze! Niechaj będzie niczym nieskrępowana indywidualność. To było wasze credo i ja was posłuchałem. Teraz moja kolej... Ja was zrozumiałem, teraz wy musicie mnie zrozumieć. Hej, wy tam! Rozbijajcie ich! Wysmarujcie

ich konfiturami, ale dokładnie i gęsto. Przytrzymajcie im mocno głowy, a ja im zapcham gęby salatką. Spokojnie, bracišku, spokojnie... Nie wyrwiesz mi się. Już ja ci pokażę zmierzch teraźniejszości. Wy macie swoją indywidualność — i ja mam swoją!

V.

Młodzi ludzie klęczeli przede mną na kolanach, chwytałem mnie pokornie za nogi i płacząc mówili:

— Niech pan nam przebaczy. Jak Boga kochamy, już więcej nie będziemy.

— Czego nie będziecie? — Tego... robić... Nie będziemy malować takich obrazów.

— A dlaczego dotąd malowaliście?

— Myśleliśmy, proszę pana: ludzie są głupi, więc chcieliśmy zrobić szum dookoła swej osoby i wywołać dyskusję.

— A dlaczegoś ty przykleił szczura na tacy i powiesił na ścianie? — zwróciłem się do drugiego artysty.

— Chciałem uchodzić za bardzo oryginalnego i niezwykłego.

— Jesteś tak głupi, że za brakło ci fantazji na rzecz naprawdę ciekawą i wartościową. Powiedz: jesteś głupcem do kwadratu?

— Jestem, proszę pana.

— Niech pan nas już puści. Pójdziemy do mamy!

— Dobrze. Pocałujcie mnie teraz w rękę i poproście o przebaczenie.

— Pocałowac pana w rękę? Dlaczego?

— Bo inaczej rozebraliście naga i wysmarujecie konfiturami. No?

— Wasia, ty całuj pierwszego... Potem ja.

— No, Bóg z wami. Idźcie już.

VI.

Zwiastunowie nowej sztuki podnieśli się z kolan, otrzepali spodnie, wyciągnęli łyżki z naszywek i włożywszy je do kieszeni wyszli na korytarz gęsięgo, bojaźliwie oglądając się.

W korytarzu, wkładając płaszcz, rozmawiali z sobą szeptem, przestraszani:

— Aleśmy się wkopali! A ja myślałem, że to taki sam duren, jak inni.

— Lebski facet. Mówię ci, ale miałem pietra, jak zaczął na mnie krzyczeć. Myślałem, że mnie wyrznie w łeb tą tacy.

— Dzięki Bogu, że to się tak skończyło. Mogło być gorzej.

— To ten twój szczur tak go rozgniewał. Też miałeś pomysły: zdechłego szczura przykleić na tacy!

— Chociaż ty się nie wymądrzaj. Wiesz co? Wyrzucę szczura i na pustym miejscu umieszczę obcas z przyklejonym ogarkiem świecy stearynowej. To będzie trwałe. No, chodźmy już. Wasia chodźmy, bo jeszcze się rozmyślą...

I poszli, trzęsąc się ze strachu.

Przełożył: ADAM OCHOCKI



chce rzeź z zachwytem. Rzeczywiście ci Amerykanie, przyjeżdżający do Moskwy, to panie tego... Ma pan fantazję... Przedstawiciele Amerykanina w postaci trzech rurek...

— Rurki — to Moskwa. Amerykanina tu właściwie jako takiego nie ma, ale są ślady jego pobytu... — Ach, tak! Delikatna a-luzja. Jaki rozmach! Co za kolory! Ile?

— Siedemset. To w sam raz będzie pasować do pańskiego gabinetu. — Siedemset... czego? — No, tych samych, to

ki hipochondrycy — my się nosimy tak, jak uważamy za stosowne.

— Słusznie — zgodziłem się. — Każdy żyje, jak chce. Na przykład ja. Na pewno niejednemu u mnie wyda się oryginalne, ale przecież nie jesteście tymi... no... filistrami i burżujami! — O, nie. Oryginalność nas nie zadziwi.

IV.

Przyjechaliśmy do mnie. W mieszkaniu było już dziesięć, dwanaście osób. Moi przyjaciele bardzo się ucieszyli, że mają okazję

ty produkcyjne. Pewnie było i sporo bumelan-tów, którzy skorzystali z okazji i otrzymali zwolnienie lekarskie w ciemno, bez badania. Na badania nie starczało niekiedy sił i czasu. Więc pewnie bywało i odwrotnie — ludzie chorzy po ważniej, niż myśleli, szli zwyczajnie do łózka z aspiryną i termoleorem, a po tygodniu ujawniały się całkiem groźne komplikacje. Trudno, stan wyjątkowy, epidemia, a nawet pandemia, bo szło to lala ogromną przez cały świat.

Na szczęście Hong Kong mamy za sobą i możemy sobie pogadać o historii. „Miecze i lance, luki i karabiny maszynowe, nawet materiały wybuchowe zaciążyły na losach narodów mniej, niż wesz tyfusowa, pchła dżumowa i koma żółtej febrzy — pisał bakteriolog Zinsner w pełnej wdzięku i makabrycznego humoru książce „Szczury, wszy i historia”, wydanej i u nas w 1939 roku. Perska armia Kserksesa, rzucona w sile osiemset tysięcy żołnierzy na podobój Tessali, wyczołgała się po paru miesiącach straciwszy prawie bez walki trzysta tysięcy, powalonych tyfem. Gdy w roku 1099 rycerze krzyżowi zdobyli wreszcie Jerozolimę, starczyło jednego roku, żeby z trzydziestu tysięcy została jedna pięta, a dwóch lat — żeby niespełna dwadzieścia tysięcy chorych niedobitków tknęło się jeszcze po ulicach konającego miasta. Dwóch lat względnej pokoju, nie wojny.

Z 25 tysięcy napoleońskich kondotierów na Haiti żółta febra zabrała cztery piąte, przesa-

dzając tym samym powstanie pierwszego wolnego państwa Murzynów na świecie. „Bronia się jeszcze twierdze Grenady, ale w Grenadzie zarazał — pisał Mickiewicz w przepięknej balladzie o Almanzorze. Rzeczywiście — z raportów generałów hiszpańskich wynika, że tylko trzy tysiące wojaków zgineło w walkach z Maurami, a siedemnaście — z chorób. Z jakich chorób? „Z przeziębienia”, pisali generałowie. A więc to nie dżuma i nie dur taki czy inny, tylko grypa! Grypa hiszpańska!

W początkach szesnastego wieku niektóre miasta w Anglii straciły po 90 proc. mieszkańców w zaradzie, jakiej nie znalazł wcale ówczesni medycy. Delikwent dostawał ni z tego ni z owe go wielkiej gorączki, dreszczy, drżenia, mdłości, pociał się przy tym niesłychanie i po jedynym-dwóch dniach umierał.

Zarazę nazwano półówką angielską. Być może — była to też odmiana grypy, przywleczone z innych stron świata do środowiska absolutnie nie przygotowanego i nie odpornego. Cóż przy tamtych kłękach znaczy nasz tegoroczny, azjatycki wirus?

Hong Kong staje się już tematem monologów, piosenek i felietonów. Cate szczęście, że tak właśnie kończy się w zbiorowej świadomości ludzkiej każdy bez wyjątku kataklizm, klęska, tragedia.

Keep smiling!

ĆWIEK



Lewym okiem

ODWOŁANIE ALARMU

W kopalnych szczątkach przedhistorycznego krokodyla, którego wiek ocenili uczeni paleontolodzy na czternaście milionów lat, stwierdzono typowe reumatyczne zmiany kostne. Wynika z tego, że reumatyzm jest odwieczną chorobą wszystkich kręgowych stworzeń ziemskich i że czternaście milionów lat było okresem zbyt krótkim, żeby się jakoś do łamania w kościach przyzwyczaić, uodpornić się, a może i polubić.

Ale to były inne czasy, przedwojenne. Dziś wszystko zmienia się z dnia na dzień i co rusz to mamy nowe przyjemności. Grypa, którą pamiętam już jako influencję, hiszpankę i grypę swojską, nagle zwalała się w nowej postaci i pod nowym egzotycznym pseudonimem. Od wielu znajomych lekarzy wiem, że bynajmniej nie była sprawą błachą, ludziska kładli się pokotem, w tramwajach zrobiło się luźno, w biurach pusto, w niejednej labryce stawały całe oddzia-